ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

15.10.72

42 (778) Rok XV Cena 2 zł

DZIŚ 16 STRON! Na 4 stronach pod hasłem: WSPÓŁCZESNA SZKOŁA — piszą: RYSZARD BINKOWSKI — o nauczycielach z wiejskiej szkoły w Lutomiersku, WOJCIECH FILIPIAK — o sporcie w szkole, KONRAD FREJDLICH — o nauczaniu literatury w szkole, BOGDA MADEJ — prezentuje dorobek całodziennej szkoły z ul. Miedzianej, EWA NURCZYŃSKA — o filmie w szkole jako przedmiocie nauczania i pomocy dydaktycznej, LUCJUSZ WŁODKOWSKI — Jaki jest współczesny nauczyciel, a jaki powinien być w przyszłości?, JERZY WILMAŃSKI — zastanawia się w felietonie: współczesna szkoła czy przyszłościowa?

50 lat ZSRR

RODION MALINOWSKI

ŻOŁNIERZE

W roku 1969 ukazała się w Związku Radzieckim powieść, której autorem jest były minister obrony Związku Radzieckiego — marszałek R. J. Malinowski. Jak sam tytuł głosi, bohaterami jej są żołnierze Rosji, którym wypadło wziąć udział w bezmyślnej rzezi na scenie krwawego teatru I wojny światowej. Powieść o bezsprzecznych walorach artystycznych, jest także cennym i ciekawym dokumentem historycznym.

* * *

Pułk zmienił strzelców syberyjskich w lasach Augustowskich i zajął zawczasu przygotowane pozycje obronne w rejonie Żylin, bardziej na południe od jeziora Swerwy. Okopy budowali saperzy i wykonali je wyśmienicie: głębokie, na całą postać, ze stopniami, pokryte daszkami, załamania zabezpieczone żerdziami. Ponadto saperzy urządzili dobre schrony z dwuwarstwowym przykryciem. Z przodu rozciągał się gęsty iglasty las, ale sektory ostrzału zostały oczyszczone i to, w zestawieniu z polanami dawało widoczność do ośmiuset kroków. Przed okopami, zwłaszcza przed gniazdami cekaemów założono podwójne zasieki drutów kolczastych.

Dalszy ciąg na str. 12

JULES SUPERVIELLE

* * *

Lękam się, że twe imię róży, Francjo moja,
Z wierszy mych się wyrywa ku otwartym brzegom,
Jak ptak, co lotem szuka w zamkniętym pokoju
Czaru nieba żywego.

Zawsze groźny niepokój przejmuje mnie dreszczem
Przed wymówieniem ciebie, o imię miłości!
Tak samo noc odwleka zdławienie jasności
I zawisa nad ziemią rozedrganym zmierzchem.

Lecz niekiedy znęcony czułym upojeniem,
Pod tajemniczym wpływem oszukańczej mocy
Czuję się przesiąknięty ojczyzny imieniem,
Jak pociąg pełen rannych, broczący wśród nocy.

Potem pojmując nagle ogrom mego błędu
Powiadam, że tym tylko wargi bez bluźnierstwa
Imieniem twoim kwitną i nigdy nie więdną,
Którzy mrą broniąc twego świętego jestestwa.

Przełożył: ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Rozmowa z Rektorem Uniwersytetu Łódzkiego Prof. dr hab. — JANUSZEM GÓRSKIM

Miejsce na mapie naukowej Polski

Prof. dr hab. Janusz Górski, Rektor Uniwersytetu Łódzkiego, odbywał studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego i ukończył je w 1952 roku. Pracę naukową podjął w Szkole Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie, gdzie doktoryzował się w 1958 roku, a habilitował w roku 1962. Tytuł profesora otrzymał w 1969 roku.

Dalszy ciąg na str. 6

Andrzej Makowiecki

Cień nad Jadranem

(KORESPONDENCJA Z JUGOSŁAWII)

Obudziłem się którejś nocy czując, że tańczy pode mną łóżko. Dotknąłem ręką ściany. Pokój drżał — jakoś tak dziwnie, sztywno. Brzęk szkła, chybotliwy cień lampy na suficie. Nie trwało to dłużej niż dwie, trzy sekundy, a później nastąpił błogi spokój.

Leżałem w ciemności snując leniwe projekty działania. W zasadzie powinienem podnieść wielki wrzask, stawiając na nogi wszystkich domowników, albo przynajmniej zaalarmować szefa... W rezultacie — zasnąłem trawiony niejasnymi wyrzutami sumienia.

Kiedy następnego dnia złożyłem w tej sprawie dramatyczno-ironiczny meldunek, spotkałem się z uzasadnionym niedowierzaniem. Jednakże komunikat radiowy potwierdził w pewnej mierze moje katastroficzne doznania: owszem, było trzęsienie ziemi, w Grecji i we Włoszech. O Jugosławii wprawdzie nikt nie wspominał, ale...

Późnym wieczorem znowu zawibrowały w okolicach Dubrownika domy i hotele, co wywołało wśród turystów lekką sensację, a także falę drobnych, starannie maskowanych niepokojów. Niektórzy zwijali się cichaczem, odjeżdżając w bezpieczniejsze rejony, niektórzy zamieniali kwatery na camping, słusznie rozumując, że znacznie lepiej dać się przywalić namiotowej szmacie, niż gruzom ciężkich zabudowań. Ci natomiast, co zdecydowali się przetrwać w miejscu, zastawiali na wredną Matkę-Ziemię najrozmaitsze pułapki: sprytnie podparte na zapałkach szklanki, postawione na szyjkach butelki, zawieszone nad łóżkami grzechotki i dzwonki, a więc wszystko to, co przy najmniejszym tąpnięciu mogło spełnić rolę swoistego budzika.

Tubylcy zachowywali pogodę ducha, stroniąc od każdej na ten temat dyskusji.

— Trzęsło dzisiaj — „podchodzę" zaprzyjaźnionego handlarza owoców.

— Plaż, plaż — mówi. — A, słońce prży...

— Ale przecież trzęsło!

— Ne ma problema!

Tryska humorem. Śpiewa, gwiżdże, tańczy, zachwalając swój winogronowo-brzoskwiniowy stragan. Na pozór — wszystko w porządku, jednakże w rzeczywistości chłopak spełnia w tej chwili ważną misję propagandową, mającą na celu uspokojenie turystów w imię jego małych interesów oraz w imię znacznie większych interesów ludzi, którzy żyją z zagranicznej stonki za pomocą swoich kwater, kafejek, restauracji, hoteli i rozrzuconych po wybrzeżu campingów.

Tego lata miałem okazję odwiedzić Jugosławię po raz drugi. I oto już w połowie sierpnia najpiękniejsze adriatyckie miejscowości zaczęły świecić pustkami. Wyludnione deptaki, knajpy, w których oprócz właściciela i kelnerów nie było żywej duszy, hotele, gdzie większość pokojów permanentnie dzwoniła ciszą. Paradoksy — przy odrobinie szczęścia można było znaleźć kwaterę w porządnym domu za cenę mniejszą niż na campingu płaci się za pole namiotowe. Jeśli powiem, że za luksusowy pokój

Dalszy ciąg na str. 4

ANDRZEJ GRUN

ZE ŚWIATA

Wielkość wizyty Edwarda Gierka i towarzyszących mu osób we Francji trzeba mierzyć równocześnie znaczeniem dwóch podpisanych w Paryżu dokumentów państwowych oraz klimatem spotkań i rozmów. Ten bowiem był od pierwszych chwil bardzo serdeczny. Francja, którą w sierpniu 1934 roku Edward Gierek musiał opuścić za udział w organizowaniu strajku w jednej z kopalń, teraz gościnnie powitała w jego osobie Polskę.

Jest ewenementem w dyplomatycznej praktyce, że jeszcze w toku rozmów — w połowie wizyty — prezydent Pompidou oświadczył na posiedzeniu rządu, że „spotkanie odbywa się w znakomitych warunkach tak na płaszczyźnie stosunków międzypaństwowych, jak i ludzkich". Oznacza to, że już w pierwszych rozmowach poglądy obu stron były bliskie i zarysowały się podstawy porozumień. Mówił o tym nieco później na konferencji prasowej I sekretarz KC PZPR, podkreślając, że w kwestiach zasadniczych stanowiska obu krajów są jednakowe lub zbieżne. Rozmowy udowodniły, że mimo odrębności ustrojów społecznych i politycznych można i trzeba opierać wzajemne stosunki na podstawach pokoju, współistnienia i współpracy.

Klimat wizyty kształtowali zresztą nie tylko oficjalni gospodarze. Kształtowała go serdeczność robotników w Lyonie, których odwiedził Edward Gierek oraz paryskiej ulicy. Prawda, że oddziaływały na to tradycyjna sympatia naszych narodów i związki kulturowe, ale czy przede wszystkim? Z całą pewnością największą rolę odegrały teraźniejszość i przyszłość. One też były głównym tematem rozmów Edwarda Gierka i George Pompidou w cztery oczy i rozmów plenarnych. Dniom dzisiejszym i jutrzejszym służą właśnie podpisane w Paryżu dokumenty, które, w wypowiedzi dla PAP, I sekretarz KC określił jako mające „doniosłe znaczenie dla dalszego rozwoju i pogłębienia stosunków polsko-francuskich". Pierwszym z nich jest deklaracja o przyjaźni i współpracy, drugim — układ o współpracy gospodarczej, przemysłowej i naukowo-technicznej, zawarty na 10 lat.

Deklaracja odnotowując z zadowoleniem dotychczasowy rozwój stosunków polsko-francuskich oraz wkład obu krajów w rozwijający się proces odprężenia na kontynencie europejskim — potwierdza wolę obu stron dalszego opierania swej polityki na zasadach nieuciekania się do siły, nieingerencji, nienaruszalności granic oraz poszanowania suwerenności.

W pierwszej części deklaracja przynosi określenie celów, którymi kierować się będą oba państwa w swej polityce. Jest to — zacytujmy —

„Działanie na rzecz trwałego postępu w dziele odprężenia i umocnienia bezpieczeństwa w Europie, przezwyciężenia podziału kontynentu na ugrupowania wojskowo-polityczne i na rzecz rozwoju pokojowej współpracy między narodami europejskimi we wszystkich dziedzinach". Oba kraje „będą zabiegać również o poparcie dla wysiłków, mających na celu powszechne i całkowite rozbrojenie".

Dokument zawiera postanowienie konsultowania się na temat problemów międzynarodowych. Spotkania odbywać się będą w zasadzie raz do roku na szczeblu ministrów lub ich przedstawicieli, mogą być jednak zwoływane również w trybie pilnym, gdy tego wymagać będzie sytuacja międzynarodowa.

Komentując to postanowienie rzecznik Pałacu Elizejskiego oświadczył, że taką regularność spotkań konsultacyjnych deklaracja określa po raz pierwszy.

Druga część deklaracji poświęcona jest rozwojowi dwustronnych stosunków gospodarczych, naukowych i kulturalnych. Podstawę do dwóch pierwszych stwarza wspomniany układ, podpisany 5 października, kierunki rozwoju współpracy kulturalnej określa deklaracja. Są to: rozwinięcie kontaktów w dziedzinie nauczania, kultury i sztuki, prasy, radia i telewizji, zapewnienie lepszej znajomości w swoim kraju języka drugiej strony.

Co natomiast przynosi układ o współpracy gospodarczej, przemysłowej i naukowo-technicznej?

Przede wszystkim zapowiedź jej dynamicznego rozwoju — przez stworzenie odpowiednich ułatwień dla przedsiębiorstw i organizacji obu stron, zachęcanie i popieranie kooperacji przemysłowej w dziedzinie produkcji, technologii, prac badawczych i szkolenia kadry technicznej. Przedmiotem szczególnego zainteresowania będą: przemysł maszynowy i elektrotechniczny, hutnictwo, metalurgia, przemysły: wydobywczy, chemiczny, włókienniczy i spożywczy, budownictwo i elektronika, a także rolnictwo.

Warto podkreślić, że dotychczas Francja jest dopiero czwartym partnerem handlowym Polski w grupie krajów zachodnioeuropejskich. Wieloletni układ przyniesie w tej dziedzinie zmianę.

Nie ma więc przesady w prasowych tytułach, że podpisanie obu omówionych dokumentów otwiera nowy etap wzajemnej współpracy. Tak jest niewątpliwie. Ale na wyniki paryskich rozmów trzeba spojrzeć również w szerszym kontekście — ich znaczenia dla Europy. Trafnie to określił bułgarski dziennik — „Rabotniczesko Delo":

„Panuje jednolita opinia, że rozmowy Pompidou — Gierek i współpraca francusko-polska wpłyną na powodzenie przyszłej konferencji bezpieczeństwa i współpracy w Europie".

Stanowiska Polski i Francji na temat tej konferencji są znane. Warto jednak zwrócić uwagę, że w czasie polskiej wizyty we Francji premier Pierre Messmer głosił przed parlamentem swe expose programowe. W jednym z fragmentów powiedział: „Spodziewamy się, że europejska konferencja bezpieczeństwa, która zbierze się w 1973 r., skonsoliduje odprężenie i pokój".

Jest w tych słowach nadzieja co do losów Europy. Ich pokojowemu kształtowaniu służyła także wizyta Edwarda Gierka.

W. SŁAWSKI

Z KRAJU

■ Centralna inauguracja roku akademickiego odbyła się w murach 609-letniego Uniwersytetu Jagiellońskiego z udziałem Edwarda Gierka, Henryka Jabłońskiego i Piotra Jaroszewicza. Podczas uroczystości proklamowano Rok Nauki Polskiej. Ustępujący, długoletni rektor UJ, prof. Mieczysław Klimaszewski, odznaczony został Orderem Sztandaru Pracy I klasy. Otwarcia roku akademickiego 1972/73 dokonał nowy rektor UJ, prof. Mieczysław Karaś. Tego samego dnia odbyło się w Akademii Górniczo - Hutniczej spotkanie kierownictwa partii i rządu z przedstawicielami krakowskiej nauki i gospodarki.

■ W Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR odbyła się inauguracja nowego roku akademickiego. Wśród 134 nowych słuchaczy partyjnej uczelni, 61 przyszło na uczelnię wprost z dużych zakładów przemysłowych; 37 osób liczy studium doktoranckie przy WSNS.

■ W Warszawie w dniach od 2 do 5 bm. obradował XXV Kongres Międzynarodowego Związku Spółdzielczego, w którym uczestniczyło ponad 700 delegatów z 65 krajów. Zorganizowanie jubileuszowego zjazdu MZS w Warszawie jest wyrazem rosnącego zainteresowania rozwojem Polski, świadectwem uznania dla polskiej spółdzielczości. Ruch spółdzielczy mający w naszym kraju ponad 100-letnią tradycję, skupia aktualnie ponad 14 mln członków. Końcowym akcentem Kongresu było podjęcie rezolucji w sprawie pokoju, złożenie protestu przeciw wojnie, terrorowi i aktom przemocy.

■ Na XI Zjeździe Zw. Zaw. Transportowców i Drogowców radzono nad przyśpieszeniem rozwoju transportu i poprawą warunków pracy i wypoczynku załóg. Przewiduje się, że w 1975 r. PKS przewiezie 163 mln ton ładunków, co stanowi wzrost o 41 proc., a przewozy pasażerskie mają wzrosnąć do 2 mld 225 mln osób, tj. o 48 proc. w stosunku do 1971 r. W transporcie lotniczym zakłada się szczególnie szybki wzrost komunikacji międzynarodowej. W drogownictwie gruntowną modernizację dróg i budowę autostrad.

■ Na ostatnim posiedzeniu Krajowego Komitetu SFBSII podsumowano dotychczasowy dorobek funduszu. Od roku 1966 do chwili obecnej zebrano 13,2 mld zł. Efektem społecznej ofiarności jest wybudowanie w latach 1966—71 817 szkół, 83 internatów, 30 warsztatów szkolnych, 39 przedszkoli, 257 ośrodków zdrowia, 22 przychodni, 1 żłobków, kilku zakładów wychowawczych i domów dziecka. Nauczycielom przekazano do użytku 19.574 izby mieszkalne. 1,5 mld zł przeznaczono na zakup pomocy naukowych.

■ Odbyło się uroczyste plenarne posiedzenie Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, inaugurujące w naszym kraju obchody związane z 50 rocznicą utworzenia ZSRR. Obszerne przemówienie wygłosił przewodniczący ZG TPP-R, Jan Szydlak.

■ Rada Główna Przyjaciół Harcerstwa, pod przewodnictwem Henryka Jabłońskiego dokonała oceny akcji „Lato 72". W dyskusji stwierdzono, że istniejące obecnie sprzyjające warunki, stworzone decyzjami partii, pozwoliły na rozszerzenie rozmiarów akcji obozowej i osiągnięcie lepszych efektów wychowawczych.

■ W Budapeszcie 5 bm. powitano uroczyście półmilionowego turystę z Polski. Przewiduje się, że do końca br. przybędzie na Węgry łącznie ok. 600 tys. gości z Polski

■ Z udziałem Wł. Kruczka, St. Kosickiego i W. Adamskiego odbył się VI Krajowy Zjazd Zw. Zaw. Pracowników Książki, Prasy i Radia. 165 delegatów reprezentujących 37-tysięczną rzeszę pracowników środków masowego przekazu oceniło główne kierunki działania w minionej kadencji i wytyczyło zadania na następny okres.

■ Poprawa pogody wpłynęła na znaczne przyśpieszenie tempa prac jesiennych w polu. Siewy zbóż, głównie żyta ozimego, dobiegają końca. Wykopki buraków cukrowych i ziemniaków w wielu rejonach kraju przekroczyły już półmetek.

■ Gminne spółdzielnie zakupiły dotychczas przeszło 250 tys. ton ziemniaków jadalnych. Jest to więcej niż w analogicznym okresie ub. roku, jednak wobec zwiększonych zadań skupu, istniejący stan budzi obawę czy handlowcy i rolnicy uporają się z całością zadań przed nadejściem przymrozków. Cechą charakterystyczną tegorocznej kampanii jest duże wykorzystanie samochodów w tzw. ruchu wahadłowym; samochody w jedną stronę wiozą ziemniaki, a z powrotem węgiel.

■ W kombinacie hutniczym im. B. Bieruta w Częstochowie przekazano do eksploatacji nową baterię koksowniczą, przyśpieszając budowę o 6 miesięcy w stosunku do cyklu normatywnego. Nowa bateria produkować będzie rocznie ponad 380 tys. ton koksu.

■ Oddano do eksploatacji nowo zbudowany zakład w Trzemeszynie, w woj. bydgoskim. Zakład ten rozpoczął produkcję materiałów izolacyjnych, niezbędnych w budownictwie przemysłowym przy instalowaniu rurociągów, instalacji chemicznych itd. Uruchomienie produkcji nastąpiło na 120 dni przed zaplanowanym terminem.

■ Budowniczowie odlewni aluminium i walcowni blach w hucie „Konin" zameldowali o przedterminowym zakończeniu budowy i rozruchu całej inwestycji. Umożliwi to wyprodukowanie do końca br. 3500 ton blachy i taśm aluminiowych ponad plan. Pomnoży to wkład załogi do „banku 20 mld" o 130 mln zł.

■ W Orzeszu w pow. Tychy na miejscu starej huty powstała na 3 miesiące przed terminem nowoczesna wytwórnia szkła opakowaniowego, jeden z największych tego typu obiektów w kraju. Nowa huta, zmodernizowana i rozbudowana, będzie produkować szeroki asortyment opakowań szklanych.

■ W Stoczni Szczecińskiej podniesiono banderę na m/s „Leninskaja Gwardia", prototypowej jednostce z długiej serii kontenerowców budowanych na zamówienie ZSRR. Armator radziecki zamówił w polskich stoczniach 35 tego typu jednostek. Są to drobnicowce uniwersalne, przeznaczone do przewozów kontenerów oraz urządzeń przemysłowych, drobnicy, ziarna, materiałów płynnych i ładunków masowych.

J. A. ŻAK

W POBLIŻU

■ PLENUM KOMITETU ŁÓDZKIEGO PZPR. W ubiegłym tygodniu odbyło się plenarne posiedzenie KŁ PZPR. W toku obrad oceniono pracę ideowo-wychowawczą w dużych zakładach przemysłowych miasta oraz określono zadania, zmierzające do dalszego utrwalania kierowniczej roli partii.

W łódzkich zakładach, liczących powyżej tysiąca osób załogi, pracuje 76 proc. ogółu zatrudnionych w przemyśle miasta. Tutaj działa też 56 proc. członków partii i kandydatów całej łódzkiej organizacji pracy, a robotnicy stanowią 61 proc. wśród członków i kandydatów partii w dużych zakładach przemysłowych. Zakłady te dostarczają 68 proc. całej produkcji przemysłu w Łodzi, a 90 proc. wszystkich nakładów inwestycyjnych bieżącej pięciolatki w Łodzi przeznaczono na ich modernizację i rozbudowę.

Praca partyjna w tych zakładach ma więc decydujące znaczenie, a osiągane tu rezultaty mogą stanowić wzór dla całej łódzkiej organizacji partyjnej. Wzory takie można znaleźć już teraz w organizacjach partyjnych ZZPB im. Obrońców Pokoju — „Uniontex", ZPW „Lodex", ZPW im. Gwardii Ludowej, „ELCIE", zakładach przemysłu bawełnianego: im. Sz. Harnama, im gen. Waltera, „1 Maja", im. Armii Ludowej, FOS „Polmo" czy ZPDz. „Iwona". Chodzi jednak też o to, aby takich wzorów było więcej, aby dobrze pracowały wszystkie organizacje partyjne.

„...Chodzi o takie wydłużenie kroku i przyśpieszenie tempa — powiedział w referacie wprowadzającym do dyskusji I sekretarz KŁ PZPR, Bolesław KOPERSKI — by szybciej dojść do celów wyznaczonych w Uchwale VI Zjazdu, gospodarując przy tym jak najracjonalniej posiadanymi materialnymi możliwościami, pomagając ludziom w wykorzystaniu ich zapału, stwarzając coraz korzystniejsze warunki dla urzeczywistnienia zdrowych ambicji naszego społeczeństwa".

Sekretarz KŁ PZPR — Bolesław KAPITAN, zwracając uwagę na potrzebę pracowania po nowemu nie tylko w gospodarce, ale również i w partii, powiedział m. in.:

„Również i tu bowiem nie całkowicie wyzbyliśmy się jeszcze przejawów formalno-biurokratycznego podejścia w działalności niektórych instancji i organizacji partyjnych. Niestety, nadal jeszcze istnieją przykłady pracy na pokaz, pracy „pod statystykę", obliczonej na to, co zewnętrzne, a nie na to, co decyduje o rzeczywistych efektach".

W referacie, jak i w dyskusji zwrócono szczególną uwagę na konieczność umacniania autorytetu organizacji partyjnych, umacniania jej kierowniczej roli w społeczeństwie. W wynikach pracy partyjnej — mówiono m. in, w dyskusji — decydują postawy członków i kandydatów PZPR. Dlatego postulowano zwrócenie szczególnej uwagi na prace z kandydatami, na rozwijanie wszystkich form szkolenia partyjnego, podnoszenie roli i znaczenia zebrania partyjnego, a także na konieczność określenia każdemu członkowi i kandydatowi partii zadania partyjnego.

Komitet Łódzki PZPR podjął na zakończenie obrad uchwałę, której realizacja powinna zapewnić wszystkim organizacjom partyjnym warunki dla rozwijania własnych inicjatyw w doskonaleniu pracy ideowo-wychowawczej.

■ PRACA W ŚRODOWISKU ROBOTNICZYM. Nad tym zagadnieniem obradowały też komitety powiatowe i miejskie w powiecie łódzkim, Pabianicach i Piotrkowie Trybunalskim.

Komitet Powiatowy PZPR w Łodzi przychylił się do prośby dotychczasowego I sekretarza J. Roszkowicza i zwolnił go z zajmowanej funkcji. I sekretarzem wybrano dotychczasowego zastępcę kierownika Wydziału Propagandy KW PZPR — A. WESELAKA.

W Piotrkowie Tryb. sekretarzem KP i M partii wybrano Krystynę JUSKIEWICZ na miejsce S. BOJARY, którego wybrano I sekretarzem KM PZPR w Zgierzu.

■ POSŁOWIE W TERENIE. W ostatnim czasie w Łodzi i województwie łódzkim bawili posłowie, członkowie komisji sejmowych: do spraw spółdzielczości i usług oraz przemysłu lekkiego. Posłowie z tej ostatniej komisji nie tylko wizytowali zakłady przemysłu lekkiego, ale też zwiedzili Instytut Włókienniczy w Łodzi oraz spotkali się z pracownikami nauki, zajmującymi się badaniami nad dalszym rozwojem włókiennictwa.

■ JAK SPĘDZIĆ POPOŁUDNIE? Zastanawia się nad tym „Głos Robotniczy" w wydaniu dla województwa, proponując młodym z Tomaszowa Maz. 55 zespołów zainteresowań w tamtejszym MDK. Czy młodzi skorzystają z tej propozycji? Różnie z tym bywa. Nie zawsze bowiem dobry lokal i jego wyposażenie decydują o tym, jak młodzież spędza czas wolny. Z Rawy Mazowieckiej np. donoszą, że otwarto tam niedawno klub „Ruchu", ale choć cieszy się on powodzeniem, to jego młodzi bywalcy narzekają na... nudę. Chcą, aby ktoś zaczął coś dla nich organizować. Okazuje się więc, że nie sam lokal wystarczy. Potrzeba jeszcze ludzi z inicjatywą.

Klub „Ruchu" otrzymał też Dłutów koło Pabianic. Lokal niewielki, ale gustownie urządzony i dobrze wyposażony. W klubie jest telewizja, prasa, kawa i ciastka. Są też plany. Odbyło się już jedno spotkanie. Co będzie dalej? Nie jest to pytanie bezpodstawne, bowiem w Dłutowie istniał swego czasu klub „GS", ale został zlikwidowany, gdyż nie przejawiał zbytniej działalności.

■ PREMIERA W TEATRZE im. S. JARACZA Tym razem na scenie Teatru im. S. Jaracza wystawiono melodramat z życia XIX-wiecznej arystokracji i artystów pióra Aleksandra Dumasa — ojca pt. „Geniusz i szaleństwo". Adaptacji scenicznej dokonał J. P. Sartre. Sztukę reżyserował Jan Maciejowski, scenografia — Henri Poulain.

■ „INDEKS POLSKA 2 000". ZG ZMS ogłosił program dla wszystkich młodych. Muszą oni przygotować się do przyszłych zadań, do pracy w czasach, kiedy potrzebna będzie wielka wiedza i wysokie kwalifikacje. Na podstawie tego programu każdy młody człowiek może skonstruować swój własny plan życiowy. O sprawach tych mówiono na ostatnim posiedzeniu Zarządu Łódzkiego ZMS. Zarząd dokonał też zmian w swoim składzie, wybierając przewodniczącym Stanisława KOSIŃSKIEGO, a wiceprzewodniczącym — Jerzego MARCZEWSKIEGO.

■ „TEATRICON 72" Interesująco zapowiada się teatralny październik studentów. Od 12—15 października odbywa się przegląd łódzkich teatrów studenckich, w którym wystąpią „Teatr 77", „Pstrąg", „Cytryna", Studio Prób UŁ, „Asonans" i „Quant". W Łodzi gościnnie wystąpią też Teatr Maski i Lalki „Groteska" i „Piwnica pod Baranami" z Krakowa. Odbędzie się też dyskusja nad problemami łódzkich teatrów, przegląd filmów o sztuce, premiera studencka w Teatrze im. S. Jaracza oraz specjalny koncert dla studentów w Filharmonii Łódzkiej z udziałem słynnego pianisty Rudolfa Kerera.

■ MANGO W PUSZKACH. Dostarczone po raz pierwszy do Łodzi owoce mango znikęły już ze sklepów. Handlowcy zapowiadają transport owoców mango w puszkach.

M. RODAK

Kraj nad Sekwaną

Zdzisław Strzępek

We Francji miałem okazję być u biednych i bogatych, w domach francuskich i polskich, u komunistów i gaullistów, u wyrobników na wsi i robotników w mieście, przy żniwach, w koksowni i w... koszarach. Bez mała miesiąc żyłem intensywnie, chłonnie à la française. Zjadałem ślimaki i żaby, wmawiając gospodarzom, że mi smakują. Na krewetki i ośmiornice nie miałem odwagi! Nawet szklanice champagne nie osłabiły mego weto.

— Co słychać we Francji? — pytano mnie po powrocie. — Czy duży dobrobyt, czy spokój? Co ci się najbardziej podobało? Kiedy zaczynałem od tej ostatniej kwestii i serwowałem, że sufity we francuskich mieszkaniach (nie mniej tapety — czasem dodawałem) — spostrzegałem iskierki ironii we wzroku rozmówców. A fakt! Są naprawdę śliczne — kredowe, idealnie gładkie. Może byłem uwrażliwiony z powodu sufitów w naszych blokach? Może...

A samochody, autostrady, zabytki Paryża, plac Pigalle i... witryny sklepów?

— Owszem, owszem, mają bardzo dużo ładnych i pomysłowych opakowań. Nie wiem, czy z tej racji ceny towarów przypominają sól — i to bardzo gorzką. Pod tym względem Francja wyróżnia się w Europie. I to całej. A zabytki? Na wyłowienie całego piękna Notre Dame trzeba by miesiąc — patrzeć, myśleć i studiować.

Nie opowiem też, jak i czym świecą w oczy przy Moulin Rouge. Myślę, że słusznie, bo gazetę czytują nie tylko tacy, którzy już mają dowody osobiste.

— A wygląd Francji od strony automobilowej?

Uderza! W porównaniu z Austrią, a zwłaszcza NRF obraz Francji pod tym względem jest uboższy. Nie ma tyle, zwłaszcza wielkich limuzyn o nowoczesnej linii. Dominują różne wersje Renaulta i Citroena, Peugeota.

Te starsze — to garbate, krzywe „kołyski" jak mówią sami Katanie (tak nasi nazywają Francuzów). Falista blacha, plandekowe dachy. Dużo tego, dużo. Miejsca trudno na ulicy znaleźć choć za postój automaty żądają forsy. I co uderza? To to, że co trzeci wóz stuknięty, wgnieciony, rozbity. Tu się nie klepie, za drogo.

Autostrady — jedyne drogi w tym rozległym, dwa razy większym od Polski kraju, gdzie nie ma znaków z limitem szybkości. Od austriackich i niemieckich różnią się tym, że... płatne. Z Paryża do Marsylii ponad 15 dolarów. Inkasuje nie automat, który powiedzmy może się zaciąć, lecz człowiek.

We Francji ludzie w czasie pracy nie zacinają się. Nawet po imieninach...

* * *

Byłem więc w kraju, który jako jeden z pięciu na świecie, nosi miano mocarstwa. Republika Francuska, czyli „Liberté, Egalité, Fraternité". Tak przynajmniej pisze na wszystkich centymach i frankach. I takie myśli, takie ideały rozchodziły się kiedyś stąd po Europie, budząc ludy do działania.

Myślę, że w każdym z nas jest coś z kultury tego kraju (i może stąd tak wielu pragnie go bliżej poznać?). Nie wierzycie? Rozejrzyjcie się po bibliotekach — wielkich i małych, tych własnych, domowych. Na ilu obwolutach są francuskie nazwiska? A przypomnijmy sobie szkolne lub studenckie lata — historię, a zwłaszcza literaturę. Ile tam jest niespokojnego i inteligentnego ducha znad Sekwany, czy Sejny — jak tu się rzekę zwie? Spójrzmy na nasz język, na menu, frotte, koniak, szampan, burżuazje, neseser, sweter, piżama... Sporo, sporo ich słów włączyliśmy u nas do obiegu.

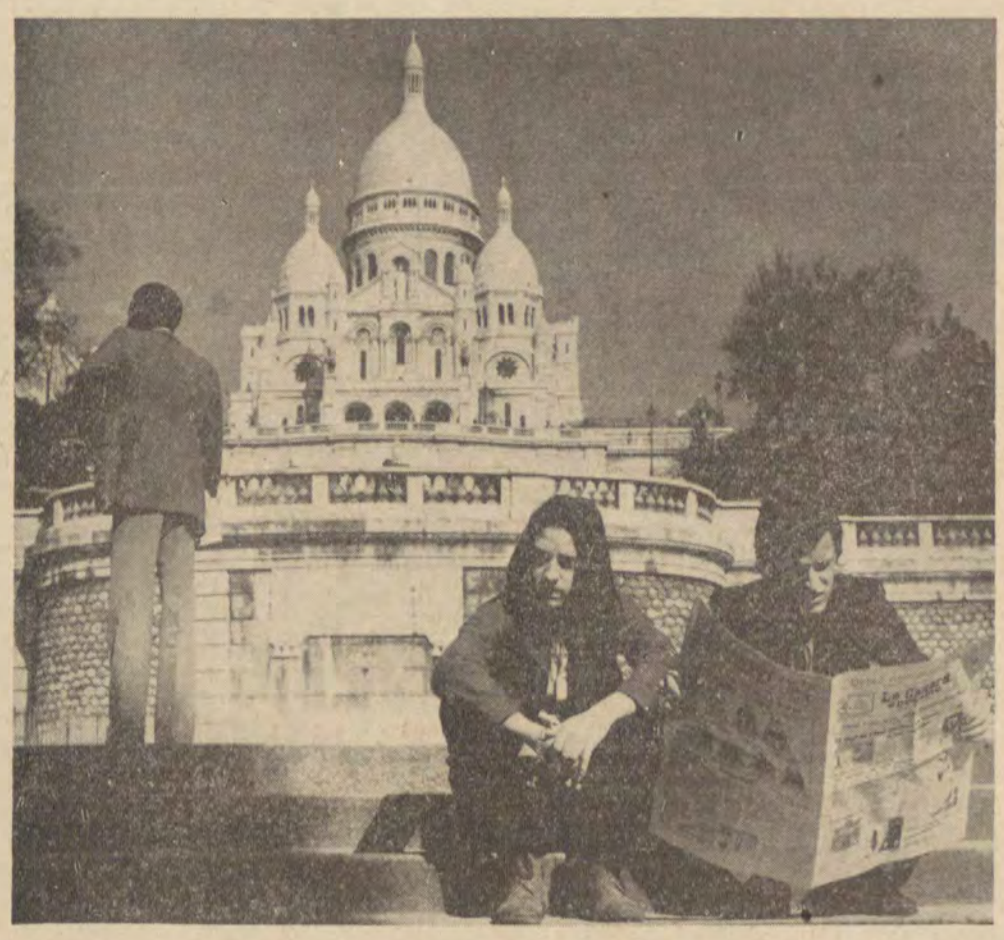

Fot. A. Wach

Każdy z nas ma więc także swoje wyobrażenie, swój obraz tego kraju, którego 90 departamentów ciągnie się od Morza Północnego po Śródziemne, od Alp po Pireneje. Być może czasem bardzo skrócony lub skrzywiony jak na telewizyjnym ekranie. Francja — to rozwiązłe obyczaje, żabie udka, lub Francja to Proust, Camus, Sartre. Albo skrót najnowszy — Francja to de Gaulle, współczesny Napoleon...

I ja miałem swój obraz tego kraju, w różnych miejscach mniej lub bardziej wyrazisty, przejaskrawiony to na ciemno, to na różowo. Zaczął mi się zmieniać, korygować od chwili, kiedy w Żobach, koło Saarbücken, ostemplowano mi paszport pieczęcią Republiki. Im bardziej poznawałem Francję, im dłużej rozmawiałem z krewnymi i Katanami, tym wyraźniej uświadamiałem sobie, że na pytanie: co słychać we Francji? — nie ma jednoznacznej odpowiedzi.

Nie sądziłem, że Francja to aż taki konglomerat ruchów, prądów, poglądów, organizacji i dążeń. Francja przygotowuje się do wyborów parlamentarnych, partie wzmogły więc działalność, dają o sobie znać nawet te najmniejsze. Ile jest partii politycznych? Starałem się je wyspecyfikować, ale nie jest to łatwe. Kończyłem na liczbie 11, ale liczyłem te ważniejsze. Obóz rządowy, partie lewicy i zgrupowanie prawicowe. Związki zawodowe działają w ramach... 9 central, z czego cztery liczą się najbardziej.

Wielkie wrażenie w politycznym świecie Republiki zrobiło ostatnio podpisanie tekstu porozumienia o współpracy Francuskiej Partii Komunistycznej, siły znacznej, liczącej ponad 600 tysięcy członków. (pod jej wpływami jest główna centrala związkowa, CGT — 1,9 mln członków) z Partią Socjalistyczną. Komentatorzy ciągle jeszcze roztrząsają tę kwestię na wszystkie strony. Rzecz w tym, że partie te ustaliły wspólny program rządowy, alternatywny w stosunku do partii gaullistowskich. Pokazują w nim, jak powinna wyglądać Francja według lewicy. Jest to więc zarazem zasadnicza krytyka obozu rządzącego, burżuazyjnego.

To zbliżenie głównych sił lewicy francuskiej idzie dalej niż w 1936 r., kiedy to lewica utworzyła Front Ludowy i nie dopuściła do faszyzacji Francji. Do wyborów lewica idzie z własnym programem rządowym. To wytworzyło nowy układ sił, nową sytuację polityczną.

„L'Humanite", organ KC KPF (piękny tytuł — Ludzkość) znakomicie propaguje nowy program. Pisze np. o zakładach samochodowych Barliet w Lyonie (tych właśnie, które dostarczają nam licencje na autobus) i pokazuje, że mają niewykorzystane moce, biorą silniki od Manna w NRF, gdyż nie chcą brać od konkurenta, innej francuskiej fabryki ciężarówek, Sawam. Program rządowy lewicy przewiduje w takim wypadku połączenie fabryk, zwiększenie produkcji dla dobra Francuzów. Program przewiduje też co robić w kraju, aby ustabilizować galopujące ceny, chronić interes konsumenta, pomóc masom.

Porozumienie francuskiej lewicy ma jednak i szersze międzynarodowe reperkusje. Zbiegło się akurat z kolejnym kongresem Międzynarodówki Socjalistycznej, w którym uczestniczyli przedstawiciele 26 partii z różnych krajów, w tym socjalistów francuskich. Nikt ich nie potępił za współpracę z komunistami. A były przecież czasy kiedy Włoską Partię Socjalistyczną za to usunięto z Międzynarodówki. Świat się zmienia, ostatnio bardzo szybko.

* * *

Kiedy w konsulacie francuskim w Warszawie wręczono mi wizę, podsunięto do podpisu oświadczenie: nie podejmuję w Republice Francuskiej pracy zarobkowej. Byłem zdziwiony. Na miejscu zrozumiałem — kilkaset tysięcy ludzi nie ma pracy. Trudno zwłaszcza znaleźć pracę młodym, którzy kończą jakąś szkołę, zdobywają fach, lub nie. W parlamencie ostre dyskusje: w Bretanii bieda, chałupy jeszcze pod strzechą, gospodarstwa rozdrobnione. Ze wschodniej Francji zbyt dużo ludzi szuka roboty w NRF. Niektórzy codziennie dojeżdżają autobusami...

Poza tym te ceny. Dlaczego tak szybko rosną? Czy aby producenci nie za bezgrosko windują ceny, miast szukać zysku w obniżeniu kosztów, w zwiększeniu ilości produkcji? (z dyskusji prasowej).

A gazety, głównie lewicowe, wielkimi tytułami donoszą: strajk robotników w zakładach chemicznych, strajk w gazowniach, na poczcie... Za małe płace, złe zabezpieczenie socjalne. „Zakres i głębia niezadowolenia zyskały obecnie zupełnie nowe wymiary, takie z jakimi państwo dotąd nigdy się nie spotykało".

W komentarzach padają liczby: w 1971 roku we Francji strajkowało łącznie 5,4 mln robotników i urzędników. W br. będzie podobnie...

W tym samym czasie „Le Monde" przedstawia liczby i fakty świadczące o przyśpieszonym rozwoju Francji, która ma ambicje stać się pierwszą potęgą w EWG. Prezydent G. Pompidou mówi wprawdzie tylko o tym, że chce przekształcić Francję w nowoczesny, potężny kraj przemysłowy. Od sytuacji kryzysowej w 1959 r. wiele się rzeczywiście zmieniło, a niektórzy powiadają nawet, że po „cudach gospodarczych" tu i tam, może się on objawić we Francji.

Rząd robi wiele (oczywiście na korzyść kapitalistów), aby wzmóc inwestycje i produkcję, tworzyć wielkie konkurencyjne w skali międzynarodowej przedsiębiorstwa. Roczny przyrost inwestycji wynosi już więc 8 procent., produkcji ok. 6 proc., eksportu ponad 10 proc.! (W ub. r. — po raz pierwszy od wielu lat dodatnie saldo — i to aż 3 mln F). Ogromne nakłady kieruje się na naukę i rozwój technologii. W rolnictwie następuje szybka koncentracja ziemi, w br. plony pszenicy są najwyższe w historii kraju. Podobnie winogron.

I to także jest obraz Francji. Czy jeden drugiemu przeczy, zadaje kłam? Nie. Obrazy nakładają się na siebie, tworząc jak gdyby głęboko stonowaną mozaikę współczesności francuskiej, pełnej napięć i sprzeczności, zabiegów wokół masowej produkcji, w której wielu upatruje dobrobyt narodu i potęgę kraju.

Mając 18 lat wyemigrował z rodzinnego Lipna na Pomorzu w swoją pierwszą podróż. Wyszedł na spotkanie

HENRYK CZARNECKI

pisarz i nauczyciel

wielkiej życiowej przygody.

Z ogromną ambicją „zdobycia świata", wierząc, z młodzieńczą naiwnością, że wszystkie drogi są usłane różami.

Wkrótce życie wyleczyło go z naiwności. W pogoni za chlebem zaczął udzielać korepetycji, był stroicielem fortepianów, układał na zamówienie wzory listów miłosnych. Grywał na skrzypcach „Ave Maria" w kościołach podczas ślubów, udzielał lekcji muzyki, a jakiś czas pracował jako elektryk.

Pięćdziesiąt razy zmieniał adres, mieszkając w najnieprawdopodobniejszych miejscach. Przez jakiś czas mieszkał w ... wannie. A jednocześnie uczył się. Do południa — gimnazjum, po południu — konserwatorium. Marzyła mu się bowiem kariera muzyka, wirtuoza, kompozytora. Wkrótce jednak zaniechał gry na skrzypcach. Wstąpił na Uniwersytet Łódzki i zajął się studiowaniem ojczystego języka i historią literatury.

W 1964 roku debiutuje w „Czytelniku", „Listami do pana Popielniczki", potem kolejno wydaje powieści: „Śmierć krowy", „Człowiek w szufladzie", „Godzina deszczu", „Profesor na drodze" i „Kurtka na ekspres". Pisze sztuki teatralne, a jedna z nich pt. „Pan w ciemnych okularach" przynosi mu sukces. Wystawiano ją w Lublinie, Zabrzu, Katowicach, Gliwicach. Pisze scenariusze filmowe. Film: „Ogłoszenie matrymonialne" w reżyserii Zbigniewa Chmielewskiego miał niedawno swoją premierę w Moskwie. Drugi film powstaje wg książki „Profesor na drodze". Henryk Czarnecki publikuje niemal we wszystkich pismach w kraju, współpracuje z radiem.

Charakterystyczną cechą twórczości Henryka Czarneckiego jest poetyckość, liryka rzeczy małych, urok codzienności, afirmacja życia i piękna, optymizm, ironia z domieszką sentymentu oraz pobłażliwość dla ludzkiej niedoskonałości. W swoich książkach nie stara się nikogo uczyć, nie usiłuje narzucić swojego widzenia świata, a tworzy jedynie nastrój.

Ten niespokojny, ciągle ciekawy świata człowiek, już dwadzieścia trzy lata jest wychowawcą i wykładowcą języka polskiego. Zrósł się ze szkołą. W Technikum Samochodowym przy ul. Hipotecznej 8 w Łodzi jest postacią niezwykle popularną i barwną. Jego sposób prowadzenia zajęć, jego pasja (teatr, malarstwo, muzyka), upór, z jakim stara się przekazać swoim podopiecznym wiadomości z zakresu kultury, zyskały uznanie uczniów.

Wydział dla pracujących, na który uczęszczają częstokroć uczniowie starsi od profesora Czarneckiego, może być przykładem, jak zamiłowania nauczyciela można łatwo przenieść na uczniów. Bardzo często, może nawet częściej niż wymaga tego program, Henryk Czarnecki prowadzi wykłady na temat teatru, muzyki, baletu, malarstwa i literatury. Jego uczniowie, ludzie dorośli, zarazili się na dobre bakcylem teatru. Nie ma sztuki w teatrach łódzkich, którą by opuścili. Często można ich spotkać na przedstawieniach operowych, w filharmonii. Jest to niewątpliwa zasługa ich polonisty — pisarza Henryka Czarneckiego.

Ten związek ze szkołą miał poważne konsekwencje w twórczości pisarskiej. Pierwszą książką zrodzoną z doświadczeń pedagogicznych był „Profesor na drodze", a rozwinięciem jednego z jej wątków jest następna — „Daleko od szosy", która znajduje się aktualnie w druku.

EUGENIUSZ IWANICKI

Dalszy ciąg ze str. 1

w Srebrenie-Dubrowniku płaciłem dwanaście dinarów, nikt mi nie uwierzy, bo przecież w tamtym roku musiałbym zapłacić co najmniej sześćdziesiąt...

Trudno się dziwić, że w tej sytuacji niewielkie drżenia ziemi kwitowane były przez tubylców milczeniem.

— Chodzi o to, żeby nas do reszty nie wystraszyć — powiedział pewien mądry, ciężko zresztą wystraszony Czech.

— Dla nich trzęsienie ziemi jest niczym w porównaniu z ponurą wizją osieroconych, zapomnianych nagle przez turystów, a tak przecież modnych do niedawna miejscowości.

Zastanawiam się nad mechanizmem jugosłowiańskiego krachu.

Po pierwsze — Hiszpania. Już pobieżna, ograniczająca się chociażby do polskich wyjazdów analiza świadczy, że właśnie w tamtą stronę ruszyły tego roku najliczniejsze, spragnione odmiany tabory dewizowców. W przyszłości, a więc za rok, czy dwa, sytuacja na pewno się powtórzy. Uroków Hiszpanii zachwalać nie trzeba; na dodatek kraj jest tani, a ludzie życzliwi.

Po drugie — ospa. Wiosenna epidemia brutalnie zahamowała kontakty Jugosławii z Europą. Obawa przed rozpowszechnieniem się choroby rzuciła głęboki cień na całe adriatyckie lato. Wprawdzie po kilku tygodniach alarm został odwołany, ale psychoza strachu, niechęć do wymaganych początkowo przez władze graniczne szczepień ochronnych — została.

Po trzecie — olimpiada. Trzeba pamiętać, że szczytem urlopowym w Europie nie jest lipiec, a sierpień. Trzeba również pamiętać, że nie Polacy i Czesi stanowią w sezonie tak zwaną większość turystyczną. Ponad pięćdziesiąt procent wszystkich przyjezdnych — to Niemcy. To właśnie z nich ściągali Jugosłowianie największe zyski. Dla nich, aczkolwiek nie najbardziej kochanych, budowano nowe kurorty. I oto nadchodzi Monachium, gigantyczna feeria sportu. Czy można się dziwić, że Niemcy pozostali w domu?

No, oczywiście nie wszyscy.

Ale w murach starego Dubrownika pojawiła się nostalgia.

Nie ma obcych jachtów w porcie, zmniejszył się ruch samochodowy na drogach, wzdłuż promenady nie spacerują już damy w wytwornych kreacjach.

Mnie osobiście wcale to nie przeszkadza.

Patrzę na hippiesów wałęsających się gnuśnie pod murami, obsiadających pomniki, schody, ocienione wnęki w ścianach i bramy. Kilkudziesięciu tych zarośniętych, brudnych jak nieszczęście wałkoni, leży pokotem na stopniach kościoła. Jedni mruczą coś pod nosem, inni opatrują sobie zmaltretowane od łazęgi nożyska, jeszcze inni zdołali nawet zapaść w drzemkę.

Nagle zjawia się dziad kościelny. Bluźni, wygraża pięścią. Ej, już on zadba o to, żeby zgrai nie było za wygodnie. Tacha przecież ze sobą dwa wiadra wody. Polewa z rozmachem najwyższy ze stopni i oto woda zaczyna równomiernie spływać w dół, podmywając rozmemłane ciała.

Oni jednak również mają na dziada swój sposób. Podnoszą się, leniwie, bez jakiegokolwiek gniewu, schodzą na plac, przysiadając w kucki pod murem i patrzą w słońce. Już po piętnastu minutach schody są suche, więc wracają.

Jednakże dziad także jest uparty, toteż widowisko trwa jak dzień długi, stanowiąc dla turystów jaką taką rozrywkę.

W czeluści bramy wyjściowej usytuowało się trzech długowłosych trubadurów. Ten najważniejszy, z wielkim pokutniczym krzyżem na szyi, dzierży w czarniawych rękach gitarę, do której przymocowane są także za pomocą drutu dychawiczne organki. Trochę on w te organki dmucha, trochę znęca się nad strunami, później zaczyna śpiewać po angielsku jakąś szmoncesowatą balladę, a dwóch pozostałych towarzyszy niedoli akompaniuje mu z powagą, wystukując palcami głuchy rytm na dziecinnych, blaszanych bębenkach.

To też stanowi dla przechodniów jakie takie urozmaicenie. Ten i ów rzuca muzykantom pod nogi parę groszy, ktoś klaszcze w ręce, ktoś inny krzyczy bez przekonania: bis!

W sumie jednak śpiący pod kościołem i muzykujący w bramach hippiesi nie potrafią na dłużej przykuć niczyjej uwagi. Ci, co przyjechali do Jugosławii z Zachodu, widzą na co dzień w swoich rodzinnych miastach trochę lepsze szopki.

Więc co, co mają jeszcze zrobić dla turystów jugosłowiańscy organizatorzy „kultury"?

Drukowana w tygodnikach pornografia nikogo nie bawi. Trzeba zatem rozproszyć opar nudy seksem autentycznym, wyrafinowanym.

W „Labiryncie" szedł jakiś czas przy względnej frekwencji program pod rewolwerowym tytułem „Miłość goryla". Był to akt przemocy i maksymalnego zezwierzęcenia. „Małpisko" odnosiło na scenie pełny sukces w walce ze swoją piękną, powabną partnerką, która w sekwencji finalnej, skatowana do krwi, odarta z łachów, poddawała się wreszcie, czerpiąc najwyraźniej z tych zapasów całą gamę erotycznych wzruszeń.

— To mąż i żona — wtajemniczył mnie pracujący w „Labiryncie" Polak.

— Poza tym programem żyją chyba w zgodzie?

— Jak czasem. Nieraz kłócą się w garderobie, nieraz on naprawdę jej przyłoży pięścią w ślip.

— Może jest zazdrosny o tych, co patrzą?

— Cholera wie.

— Tak czy owak praca jest dosyć niewdzięczna...

— Ale za to dochodowa.

Fakt. Dobrze się za takie kilkunastominutowe skecze płaci. Ale też trzeba się dobrze namęczyć. Tradycyjna rozbieranka nikogo już nie zadowoli. Więc oglądamy w wykonaniu sezonowych seksolatek, miłość lesbijską, miłość z „psem", miłość z „ptakiem", oraz miłość „z samą sobą". Wszystko to jednak wypada dosyć blado na tle normalnego, klasycznego streap-teasu w wydaniu pewnej wybujałej Jugosłowianki.

— Jeszcze czegoś takiego pan nie widział — mówi z uśmiechem ten Polak.

— Taka ładna?

— Nie o to chodzi. Ona po prostu to lubi. Nie ma w niej odrobiny wstydu, no i umie wciągnąć do zabawy całą salę; zaraz się pan przekona...

Zapalają się kolorowe jupitery, orkiestra gra tusz: z wnęki za barem, spowita w muśliny wychodzi tanecznym krokiem dwudziestopięcioletnia kobieta o wzroście minimum sto osiemdziesiąt siedem i wadze dziewięćdziesięciu kilogramów. Po drodze dokonuje przeglądu sytuacji, przypatrując się w szczególności tym chłopcom, którzy są w obecności swoich dziewczyn i sprawiają wrażenie silnie zakochanych oraz tym mężczyznom, którzy pobłądzili w „Labiryncie", mając u boku swoje czcigodne małżonki.

Niebawem zaczyna się pierwszy akt. Muzyczka rżnie z hiszpańska, Lolita robi rozmaite piruety i prysiudy, aż stęka pod nią podłoga. Ludzie przy stolikach przyglądają się jej z rezerwą, ona jednak z każdą chwilą się rozkręca. Prowokuje, zaczepia, ściągając bezczelnie ze stolików kieliszki z alkoholem i maczając w nich swój czerwony, słodki ciup. Już jest tylko w kostiumie. Krąży po sali z pucharem w dłoni — jednemu daje się napić, innego, który wyciągnął akurat rękę, wymija w ostatnim momencie, później podchodzi do porządnie ubranego, siwowłosego, siedzącego w towarzystwie zacnej damy Niemca, prosząc na migi, aby jej zechciał rozpiąć biustonosz.

Facet dostaje wypieków. Chce dać dyla, lecz Lolita przytrzymuje go za poły marynarki, ponawiając swoje nieme żądania. Więc pociąga wreszcie ten Niemiec za rożek aksamitnej kokardki, przy czym jego żona robi ta-

CIEŃ NAD Jadranem

kie wrażenie, jakby miała zaraz dostać apopleksji. Lolita dynda wyzwolonymi wdziękami, podsuwając je Niemcowi do całowania.

Później atakuje innych, obstawionych przez kobiety mężczyzn, z których jedni ulegają, inni bronią się rozpaczliwie, odpychając jej natrętny, wielki brzuch. Co jakiś czas wybucha prawdziwa walka. Jedni bronią się pazurami, drudzy próbują nawet wierzgnąć nogą. Lolita jednakże nie daje za wygraną. Najwyraźniej zagina parol na drobnego, skolowanego Holendra, który drży nerwowo i zapiera się nogami, a ona ciągnie go na parkiet. W chwili, kiedy nieborak spełnia jej życzenie, drepcząc żałośnie z Lolitą w rytm muzyki, kolubryna ciska go z pogardą na pierwsze lepsze krzesło i zaczyna krążyć po sali, szukając nowych ofiar.

Cudzoziemiec, którego Lolita zaatakowała zadem, żądając, aby ściągnął jej majtki, ma na twarzy wyraz ciężkiej rozterki. Ze względu na żonę, która wbiła nieruchomy wzrok w blat stolika, facet ten udaje obrzydzenie, aliści — jak by powiedział pan Waldorff — nie cofa ręki, która w zetknięciu z udami Lolity, nabiera podejrzanej miękkości.

I oto — niech się świat zawali! — jeden krótki ruch tego gościa ukazuje nam Lolitę w całej krasie.

Duże brawa!

— To jeszcze nie koniec — pociesza mnie rodak.

— Szkoda — mówię.

Znacznie bardziej od popisów Lolity intrygują mnie reakcje zaczepionych przez nią mężczyzn, którzy przyszli tutaj w obecności swoich żon i dziewczyn. Widzę, że niektóre pary ostro się na siebie boczą. Lolita posiała ziarno niezgody. Zazdrość. Podejrzliwość.

„Jak ty przy mnie robisz takie rzeczy, to co będziesz robił za moimi plecami?" „Już wiem, czemu mnie tu ciągnąłeś, łajdaku!"

Kilka par pośpiesznie opuszcza „Labirynt", przy czym panie, starając się zachować w obliczu gawiedzi postawę godną, wyniosłą i obojętną, syczą coś do ucha swoich mężów i kochanków poprzez uśmiech i zaciśnięte zęby.

Lolita tymczasem wali się na podłogę i przy narastającym łoskocie bębnów odstawia to, co wedle lekarzy-seksuologów, jest udziałem tylko części kobiet, a więc to, co papa Hemingway nazywał „poruszeniem się ziemi".

Brzuch faluje, uda trzęsą się jak galareta; sapania, jęki, skowyty; coraz szybszy, chaotyczny oddech; wreszcie piękna Lola więdnie, zastyga w bezruchu, no i kończy się opera pod tytułem „Pieść mnie, duś mnie, nie mam nic do ukrycia".

Solarium.

Plaże nudystów.

Ruleta.

Filmy, w których krew tryska gejzerami.

Wszystko dla tych z Zachodu. Wszystko, żeby ich zatrzymać, przywiązać i wycyckać z cennych dewiz.

Nie wiem, czy jest to sposób najlepszy. Wydaje mi się, że jugosłowiańscy organizatorzy bazy turystyczno-rozrywkowej zaczęli ostatnio gonić w piętkę, usiłując za wszelką cenę upodobnić wybrzeże tego wspaniałego, słonecznego kraju do znanych nam z ekranu wybrzeży Ameryki. A przecież ci, co pamiętają Jugosławię sprzed pięciu, sześciu lat, twierdzą, że wówczas — choć biedniejsza w hotele, parkingi i knajpy — miała w sobie bez porównania więcej uroku, będąc krajem łagodnego, obyczajowego kompromisu pomiędzy dwoma biegunami. Polaka szokowało, że można tam już dostać coca-colę, Niemca — że jest jeszcze na starym kontynencie skrawek ziemi pięknej, a dziewiczej.

Dziś campingów jest coraz mniej, a miejsc, w których można by znaleźć tak zwaną samotność, nie ma już w ogóle. Rozbudowana do monstrualnych rozmiarów, wyposażona w najnowocześniejsze szykany techniki sieć usług turystycznych zabiła w pewnym sensie egzotyczny, lokalny koloryt, zmieniła obyczaje ludności. Do przeszłości należą już te senne, leniwe, ciche popołudnia, w czasie których zamierał w miasteczkach wszelki ruch. Jugosłowianie wpadli w nerwy, zaczęli się śpieszyć, wykreślając ze swojego słownika termin „sjesta".

Żeby wyjść na swoje, trzeba walczyć, bić się o względy turystów przez całą dobę.

W nocy, na poboczach dróg, małe dziewczynki wymachują w świetle nadjeżdżających samochodów tabliczkami, na których pisze w czterech językach „wolne pokoje". Czatujący pod motelami i pensjonatami właściciele kwater, próbują odbić tym instytucjom każdego potencjalnego noclegowicza. Zaostrzająca się konkurencja nie daje żadnych szans tym, których kwatery nie są dostatecznie wygodne, a przecież budowali je kilka lat temu w przekonaniu, że staną się one w najbliższej przyszłości podstawą ich dochodów.

Co będzie za kilka lat?

W którym kierunku rozwijać się będzie adriatycka turystyka?

Pewien młody Jugosłowianin powiedział:

— Damy sobie radę.

Pytam:

— Nie boi się pan, że w przyszłym roku przyjedzie do was jeszcze mniej turystów? Że te wszystkie, dopiero co postawione, kosztujące miliony inwestycje nie zdołają się w najbliższym czasie zamortyzować?

— Jeśli nawet zmniejszy się na kilka lat zainteresowanie naszym krajem, później wybuchnie ono z jeszcze większą siłą. I co wtedy? Będziemy doskonale przygotowani, potrafimy przyjąć w sezonie wielomilionowe rzesze turystów i w szybkim tempie odbijemy sobie ewentualne straty.

Może ten człowiek miał rację?

Może właśnie Jugosławia okaże się w końcowym rozrachunku najmądrzejszym „turystycznie" krajem starego kontynentu?

Zresztą — pomijając drażniące nas czasem zamerykanizowanie się tamtejszych obyczajów, już teraz i to pod wieloma względami, stosunek tamtejszej ludności do cudzoziemców zasługuje na najwyższą pochwałę, a w naszym polskim przypadku — także na pilne i niezwłoczne naśladownictwo.

Bo kwatery i hotele, aczkolwiek często puste, są idealnie czyste.

Bo kelnerzy w restauracjach i kawiarniach są zawsze uśmiechnięci i grzeczni.

Bo ekspedientki w magazynach nie robią ci na każdym kroku łaski.

Bo nie znajdziesz w tym kraju ludzi niechlujnych i pijanych, choć na każdym kroku masz wyszynk alkoholu, a w wielu pismach jego reklamę.

„Pij mało, a dobrze!"

Hasła tego rodzaju należy bezwzględnie przestrzegać.

W Dubrowniku byłem świadkiem niecodziennej sceny. W kawiarni na świeżym powietrzu siedziało przy jednym ze stolików dwóch mężczyzn. Zachowywali się spokojnie i na pierwszy rzut oka nie robili wrażenia pijanych, tyle, iż pierwszemu odbijało się trochę, a drugiemu ciążyła głowa. W pewnym momencie podszedł do nich w towarzystwie niemłodej kobiety, ubrany w sportową koszulkę około dwudziestopięcioletni człowiek i zaczął ich ostro, metodycznie okładać pięściami. Nie bronili się. Próbowali jedynie osłaniać przed razami twarze. Kobieta, z wyrazem niekłamanej troski na obliczu, przyglądała się temu z boku, nie wtrącając się jednakże.

Myślałem: o co to chodzi? Może ją któryś z tych dwóch zaczepił, znieważył? Może chodzi tu o jakiś trójkąt lub czworokąt małżeński, a ten pan, jej mąż, wymierza właśnie pijakom sprawiedliwość?

Ale były to fałszywe domniemania. Z półsłówek i gestów tych ludzi wynikało niezbicie, że mamy do czynienia z porachunkami rodzinnymi. Kobieta była żoną jednego z pijanych, a ten, co bił, był jego bratem, nie tolerującym nadmiernego, publicznego upijania się swoich krewnych. Wkrótce też kobieta zaopiekowała się należycie skarconym małżonkiem, który potulnie („słusznie mi się należało") ruszył za nią do domu, natomiast drugi, przywrócony do ładu pijaniuszka, został odholowany przez swojego pogromcę w przeciwnym kierunku.

Był to jedyny wypadek umiarkowanego zresztą pijaństwa oraz jedyna awantura, jakie podczas miesięcznego pobytu w Jugosławii widziałem.

Jasne, można się spierać, czy zastosowane w tym przypadku środki zaradcze, były najwłaściwsze, i czy lepsze jest publiczne picie, czy publiczne bicie. Nie ulega jednak kwestii, że opinia publiczna Jugosławii, i to na wszystkich szczeblach hierarchii społecznej, nie toleruje niechlujstwa i pijaństwa, zwalczając je bez udziału milicji w sposób bezpardonowy.

I jeszcze jedno: mówiąc o hippiesach, trubadurach, nudystach i rozbierańcach, o kasynach gry i opływających krwią filmach, nie należy zapominać, że są to gesty wyłącznie pod adresem cudzoziemców, gesty, które zobaczyć można tylko w pasie nadbrzeżnym.

Już kilkadziesiąt kilometrów w głąb lądu zwyczaje gwałtownie się zmieniają. Coraz mniej reklam amerykańskich papierosów i jugosłowiańskich koniaków, coraz więcej poważnych, zapracowanych ludzi, którym nie obca jest troska dnia codziennego i nie obce losy swojej ojczyzny. Uważny obserwator z Polski nabiera wówczas silnego przekonania, że jest przecież w bratnim, przyjacielskim kraju.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

ZWYCZAJNA APOKALIPSA

Ponad dwustustronicowa książka Andrzeja Wernera jest — jak wyznaje autor — „relacją z odczytania „Dnia na Harmenzach". Gdybyż tu nie chodziło o Tadeusza Borowskiego, o jego najoardziej może kontrowersyjne opowiadanie, czyż byłby sens pisać książkę, będącą „relacją z odczytania"? Ale Werner jest skromny. To nie jest bowiem tylko „relacja", to nie jest komentarz do opowiadania...

„Zwyczajna Apokalipsa" jest głębokim esejem o twórczości Borowskiego i jego wizji świata obozów. Myślę, że obok publikacji Tadeusza Drewnowskiego, jest to niezwykle znacząca pozycja, drążąca ten wciąż żywy i bolesny temat.

Jest faktem, że twórczość Borowskiego przynosi jedno z najciekawszych spojrzeń na faszyzm z perspektywy kultury europejskiej jako całości — oraz spojrzenie na tę kulturę z perspektywy faszyzmu. „Wiele uczyniono — pisze Werner — w tym kierunku, aby dla pokolenia, które wojny nie przeżyło, albo przeżyło ją w dzieciństwie, faszyzm był tylko zespołem ponurych faktów, nie zaś problemów. Tadeusz Borowski przekonał mnie, że jest to właśnie problem, centralny problem naszej, mojej historii".

Esej Andrzeja Wernera jest pracą naukową, sumuje pewne przemyślenia, konstruuje wnioski. Nie zajmuje się więc na przykład biografią Borowskiego — zajmuje się wizją jego świata. Stąd może mniejsza atrakcyjność czytelnicza tej książki od „Ucieczki z kamiennego świata" Tadeusza Drewnowskiego. Ale jest to pozycja potrzebna i znacząca. Nikt, komu nie są obojętne problemy polskiej literatury współczesnej, nie może obok eseju Wernera przejść obojętnie.

J. W.

Andrzej Werner „Zwyczajna Apokalipsa". Wyd. Czytelnik, cena 20 zł.

PUŁK PRZESŁAWNY

Szarą lawina szła na spotkanie przeciwnika swym zwykłym tempem, zwarta, prężna i krwiożercza, jak głodne wilki. Szli ciasnym szykiem, a że było ich trzy razy mniej niż spahii jadącej szeroką, barwną, mieniącą się jedwabiem falą, migocząc bronią, klejnotami na zawojach, srebrem uprzęży, pasów, napierśników — więc runęli całą masą w środek jej frontu, rozerwali, nie hamując koni rozdzielili się sprawnie w obie strony i z tyłu uderzyli na skrzydła muzułmańskiej konnicy. Zepchnęli je na siebie, stłoczyli, złamali wszelki ład i wyrąbali z niepojętą szybkością i biegłością, jakby siekli trzciny, czy przesieki w gąszczu. Tak oni walczyli zawsze. Gdy ruszyli, nigdy wieść prędzej nie leciała niż oni sami. Spadali niespodziewanie i w dwa pacierze roznosili tych, co im drogę zastąpić chcieli, bowiem w otwartym boju lisowczycy nie ulegali nikomu...

Barwne dzieje sławnego w całej Rzeczypospolitej pułku, co pod Cecorą dawał bezprzykładne dowody swego męstwa, co hańbę banicji krwią własną zmywał pod Chocimiem i Kamieńcem przeciw tureckim hordom stając sprawnie, opisuje Bogusław Sujkowski w powieści historycznej „Lisowczycy". Znajomość realiów epoki a zwłaszcza spraw militarnych dawnych formacji i rodzajów broni oraz szeroka panorama szlachecko-wojskowych obyczajów czyni z tej książki interesującą lekturę dla amatorów tego typu powieści a zwłaszcza dla młodzieży. Barwna forma narracji i soczysty język skutecznie przesłaniają naiwności fabuły, której jednak bezsporną zaletą jest tempo właściwe powieściom przygodowym. A że przy okazji przypomina książka szczytne momenty oręża polskiego, to plus jej wielki.

A. G.

Bogusław Sujkowski „Lisowczycy", Wydawnictwo Łódzkie 1972, wyd. II, cena 20 zł.

PIĘKNA IHUOMA

Jedną z ostatnich pozycji w wydawanym przez PIW Klubie Interesującej Książki jest powieść Elechi Amadi „Piękna Ihuoma". Ze skąpej notki na okładce niewiele dowiadujemy się o autorze. Nigeryjczyk, urodzony w 1934 roku, po ukończeniu studiów w University College w Ibadanie, poświęcił się pracy nauczycielskiej. „Piękna Ihuoma" jest jego debiutem pisarskim. Trudno wprawdzie stwierdzić, jakie miejsce zajmuje ta powieść we współczesnej literaturze nigeryjskiej, ale dobrze się stało, że zaproponowano ją polskiemu czytelnikowi. Przedstawia ona egzotyczny, zamknięty świat mieszkańców niewielkiej wioski afrykańskiej, w którym odwieczne prawa religii, tradycji i przyrody wyznaczają ludzkie losy. Prosta fabuła — dzieje tragicznej miłości dwojga młodych, tchnie subtelną romantyką. Sylwetki głównych bohaterów kreśli autor z dużą wnikliwością psychologiczną. A poza wszystkim w „Pięknej Ihuomie" Elechi Amadi przedstawia bogaty folklor i ciekawą dla nas obyczajowość murzyńskiej wsi. Sięgnął także do mowy potocznej, oddając w dialogach jej specyficzny styl.

Ostatnia uwaga dotyczy już sprawy, dla takich pozycji dość istotnych. Niewielki słowniczek wyjaśniający znaczenie nie przetłumaczonych nazw i zwrotów, aż się tu prosi. Do końca na przykład nie wiadomo, jaka potrawa kryje się pod dźwięczną nazwą fu-fu.

B. M.

Elechi Amadi „Piękna Ihuoma", PIW 1972, cena 16 zł.

SZANSA MŁODYCH

ŚWIAT GRZEGORZA STAŃCZYKA

Grzegorza Stańczyka szukałem dość długo. Wiedziałem, że jest technikiem, że pochodzi z Ozorkowa, że pracuje w „Strzelczyku"... Ale „Strzelczyk" to ogromne zakłady i nikt nie potrafił mi odpowiedzieć, gdzie mogę spotkać Grzegorza Stańczyka — młodego chłopca z Ozorkowa, który dobił się statusu artysty.

Chciałem go poznać — to prawda, ale chciałem mu właściwie zadać jedno tylko pytanie. Chciałem zapytać, jak widzi siebie w tym zespole zjawisk, zwanych gromko „szansą młodych". Jak widzi siebie ten autentycznie uzdolniony plastyk, dla którego przed laty nie znalazło się miejsce w łódzkim Technikum Plastycznym. Choć przecież zdał egzamin, choć znaleźli się tam jego rówieśnicy, którzy do dziś nie potrafią właściwie nic — poza poprawnym udekorowaniem wystawy sklepowej MHD-Odzież. Obracając się w sferze teorii, to właściwie Grzegorz miał szanse kształcenia i rozwijania pod fachową opieką swoich plastycznych uzdolnień. Ale jakoś ta szansa minęła go nie zauważając.

Poszedł więc do Technikum Mechanicznego. Potem odbywał służbę wojskową — szczęśliwie, że w Warszawie, więc wszystkie wolne godziny na przepustce spędzał na wystawach, przychodził do Akademii. Miał maturę, miał zdolności, a więc teoretycznie miał i szansę dostania się do ASP.

Powiedzieli mu tam: „po co to panu, ma pan zawód, ma pan chleb, po co panu Akademia, daj pan sobie spokój..." Do zniechęcenia doszła jeszcze sytuacja rodzinna, oboje rodziców znalazło się na rencie — więc i ta szansa minęła Grzegorza nie zauważając.

Wrócił z wojska, poszedł do pracy w „Strzelczyku" gdzie sprawdza narzędzia miernicze — piękna „referatowa" szansa stawała się coraz dalsza, coraz odleglejsza.

Z fabryki do Ozorkowa jedzie się bardzo długo, to przecież wiele, wiele kilometrów. Ile godzin trzeba stracić w zatłoczonym tramwaju tam i z powrotem — czy będzie potem ochota, aby wziąć do ręki ołówek i wyczarować swoje liryczne, poetyckie wizje? Oficjalna „szansa młodych" rozminęła się z Grzegorzem, ale pozostała autentyczna szansa młodości.

Bowiem tylko młodość może się zdobyć na taki upór i pasję, na wyrzeczenia... Kiedy wchodził do warszawskich redakcji z plikiem rysunków pod pachą, zawsze padało pierwsze pytanie: „Pan oczywiście po Akademii..." Nie był „po Akademii" i z reguły rozmowa się kończyła.

To takie typowe, takie swojskie. Możesz bracie umieć niewiele, ale jeśli masz uprawnienia, jeśli masz „papierek", zawsze masz szansę startu. Ci, którzy ten start umożliwiają, są ubezpieczeni twoim papierkiem — nawet jeśli ci się nie uda, oni są w porządku. Miałeś dyplom. Grzegorz Stańczyk nie miał dyplomu, ba, nie miał, nawet realnej możliwości zdobycia go, bowiem jego sytuacja życiowa była bardziej skomplikowana, niż mogą to przewidzieć ustawy i tezy.

Jego poetyckie wizje, cieniowane miękkim ołówkiem na białym brystolu, nie były podparte pieczątką i firmą żadnej uczelni. Musiały się bronić same.

W uporządkowanym świecie, gdzie każdy ma swoją szufladkę z etykietą, gdzie artysta bierzmowany jest tytułami „magister-plastyk", „magister-aktor", sztywne umysły nie potrafiły zrazu zaakceptować technika z łódzkiej fabryki szlifierek, który rysuje nastrojowy, nierealny świat. Grzegorz Stańczyk podważył jakoś tę konwencję — jak owa młoda kobieta z łowickiej wsi, malująca intrygujące obrazy, ale nie wpuszczona w progi Akademii, ponieważ... przekroczyła granicę wieku.

Stali więc naprzeciw siebie — Grzegorz Stańczyk ze swoją wizją plastyczną, oko w oko z uporządkowanymi segregatorami konwencji. Nawet bym się nie dziwił, gdyby wówczas zrezygnował...

Ale Grzegorz był uparty.

W roku 1968 otrzymuje I nagrodę za grafikę w konkursie z okazji 25-lecia Ludowego Wojska Polskiego, w roku 1969 otrzymuje II nagrodę za grafikę w VII Konkursie Plastyków Amatorów, „odkrywa" go „Karuzela" i „Przekrój" miesięcznik „Ty i Ja" — jeden z najambitniejszych graficznie periodyków polskich, bierze go pod swoje skrzydła.

W roku 1970 na łamach „Ty i Ja" odbywa się swoisty wernisaż jego prac. Dla wszystkich są zaskoczeniem. Teresa Kuczyńska pisze:

„zaskakująca biegłość rysownicza, zgęszczony lub rozrzedzony ołówek miękko, wyrafinowanie zakreśla przestrzenie i kształty. Te umiejętności manualne wyrażały sytuacje dziwaczne, nastroje mroczne, a lękliwe, coś z pogranicza zjawiska zwanego dziś „czarnym humorem", ale znanego przecież i uprawianego od najdawniejszych czasów. Widać, że Stańczykowi nie obce były nie tylko prace papieża czarnego humoru „Topora", ale także fantasmagorie Boscha, czy nawet wcześniejsze jeszcze — mistrza Redona..."

Grzegorz zna grafikę Topora, o którym mówi, że „zdziwił mnie innością, choć go nie lubię... Cenię sztukę Topora, ale rozumiem ludzi, którzy piszą protesty do redakcji zamieszczających jego wyrafinowane okrucieństwo. Przenoszenie jego sztuki na nasz grunt tak różny od tego, na jakim wyrosła ta sztuka, hołubiąca największą perfekcję w okrucieństwie której nie osiągnęli nawet najbardziej wyrafinowani oprawcy, działający na naszym terenie na przestrzeni historii — może drażnić; zważywszy na świat, w jakim żyjemy, na życie, które wcale nie jest takie różowe i dosyć nam na co dzień serwuje okrucieństw, może nie tak wyrafinowanych, ale jednak..."

Posępne wizje Grzegorza zrodziły się chyba z jakiegoś sprzeciwu wobec Topora — rysunki Grzegorza są poetyckie, liryczne — nie ma w nich nic z „topornej" brutalności i sadyzmu. Jest czarny humor, ale owiany delikatną, liryczną mgiełką. Nie jest więc Grzegorz naśladowcą — jest twórczym kontynuatorem kierunku, który w polskiej grafice ma tak mało przedstawicieli.

Nie ma zresztą Grzegorz nic z „naturszczyka". Słusznie pisze Teresa Kuczyńska, że Stańczykowi nieobce są tradycje kierunku. To prawda. Ten jego świat w czarnobiałej mgiełce na pewno w jakiś sposób wyrasta z psychicznej konstrukcji, z autentycznego „ja" — ale przecież podbudowany jest wiedzą i smakiem artystycznym, znajomością tradycji malarskich... Jego stosunek do Topora, z którym tak chętnie się go porównuje, jest przecież stosunkiem nie bałwochwalczym, lecz postawą świadomego artysty, postawą sprzeciwu i opozycji, próbą poszerzenia — a może i pogłębienia — tamtych wstrząsających obrazów.

To nie jest postawa „naturszczyka", ale świadomego swej wizji artysty.

Szansa młodych rozminęła się z Grzegorzem, ale wykorzystał za to w pełni szansę swoją prywatną, szansę swego talentu, swego uporu i pasji — szansę swojej młodości.

Zabrakło dla niego miejsca w łódzkim Technikum Plastycznym, zabrakło zainteresowania w Akademii, gdzie młody żołnierz szukał „bratnich dusz"... Czy to znaczy, że nikt mu nie podał ręki?

Otóż rękę podali mu ludzie, którzy w swoim zakresie czynności służbowych nie mają wcale obowiązku opieki nad talentami plastycznymi. Rękę podali mu — nie w Technikum Plastycznym, nie w Akademii, ale właśnie w ogromnym zakładzie produkcyjnym, wytwarzającym szlifierki, właśnie u „Strzelczyka". Przewodniczący Rady Zakładowej, pan Pluskota, który mógłby wzruszyć ramionami na kłopoty młodego artysty, załatwił mu osobny pokój w hotelu robotniczym. Godziny uratowane dla pracy nad białą kartką papieru — własny pokój, pracownia, w której powstają poetyckie wizje świata widzianego może nie najweselszym okiem, ale przecież emanujące jakąś czułością i troską o ten posępny świat.

Rękę podali Grzegorzowi w warszawskim miesięczniku „Ty i Ja", na łamy którego pragnęliby się dostać więksi i mniejsi artyści „po Akademii". Dziś dostępuje nobilitacji niesłychanie współczesnej — jego rysunki stają się elementem oprawy scenograficznej telewizyjnego programu, trafia do jubileuszowego albumu i na wystawę 15-lecia „Karuzeli". O Grzegorzu Stańczyku zaczyna się mówić.

On sam mówi nadal o sobie:

„Jestem właściwie amatorem, po prostu rysuję od dziecka, jeszcze w szkole w Ozorkowie urządzałem wystawy swoich rysunków... U „Strzelczyka" źle nie mam — zarabiam 2.300, ale oszczędności na tym nie zrobię, więc ta Akademia jest raczej już przekreślona, rodzice oboje na rencie tam w Ozorkowie, ja tu w hotelu robotniczym — kawalerskie gospodarstwo, to kosztuje... Chyba więc pozostanę już amatorem..."

Mój Boże, cóż znaczą słowa „amator" — „profesjonalista" — ważne jest przecież to, że Grzegorz wykorzystał szanse swego talentu, że mając 25 lat i za sobą niełatwe dobijanie się jakiegoś uznania dla swoich prac — tak jak dawniej siedzi wieczorami nad białymi arkuszami papieru. Fakt, że w wykorzystaniu tej szansy pomogli mu nieco inni ludzie, niż ci, którzy pomóc powinni — nie ma już większego znaczenia. Uparty chłopiec z Ozorkowa, sprawdzający na co dzień narzędzia w wielkiej fabryce szlifierek, jest dla mnie najautentyczniejszym artystą.

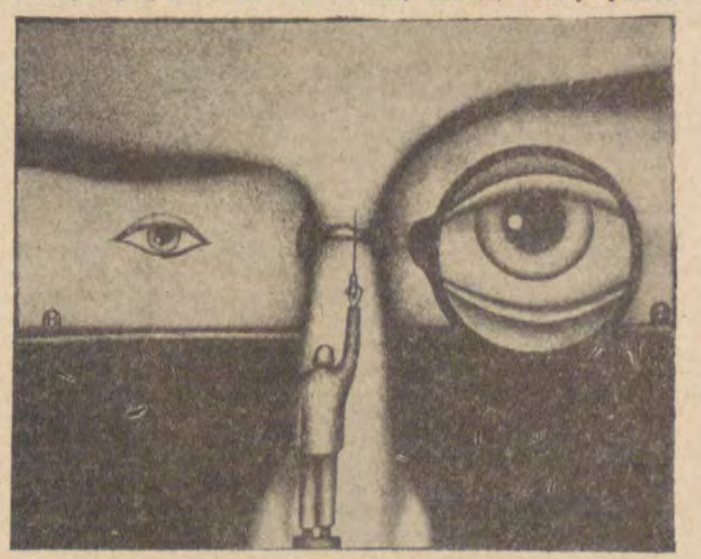

JERZY WILMAŃSKI

Rysował: GRZEGORZ STAŃCZYK

SZANSA MŁODYCH

Dalszy ciąg ze str. 1

Miejsce na mapie naukowej Polski

W SGPiS kierował Katedrą Ekonomii Politycznej i tam, w latach 1964—1968 pełnił funkcję prodziekana Wydziału Handlu Zagranicznego. Przez szereg lat (1966—1972) kierował Centralnym Ośrodkiem Metodycznym Studiów Ekonomicznych.

Prof. J. Górski jest autorem ponad 150 prac naukowych. Do ważniejszych należą: „Poglądy merkantylistyczne w polskiej myśli ekonomicznej XVI i XVII w.", „Polska myśl ekonomiczna a rozwój gospodarczy", „Zarys historii ekonomii politycznej". Ponadto jest współautorem takich, m. in., dzieł naukowych, jak: „Historia powszechnej myśli ekonomicznej 1870—1950", „Ekonomia polityczna — Zarys popularny" (siedem wydań o nakładzie 200 tys. egz.), „Ekonomia polityczna socjalizmu — Zagadnienia wybrane" (dwa wydania).

Prof. dr hab. Janusz Górski jest członkiem Komitetu Nauk Ekonomicznych PAN, Komitetu do Badań nad Współczesnym Kapitalizmem PAN oraz Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego. Jest członkiem PZPR. Ma 42 lata.

Fot. L. Olejniczak

— Panie Rektorze, czy zechciałbym się Pan podzielić wrażeniami ze swych pierwszych kontaktów z Łodzią?

— Kontakty te nie są nowe, raczej bardzo stare. Po raz pierwszy przyjechałem do Łodzi w 1946 roku. Miałem wówczas siedemnaście lat i odkrywałem w Łodzi wielki świat. Trwałą łączność z Łodzią nawiązałem w 1959 roku, po uzyskaniu doktoratu, gdy rozpocząłem pracę w ówczesnej Wyższej Szkole Ekonomicznej. Prowadziłem wykłady z historii myśli ekonomicznej. Po fuzji WSE z Uniwersytetem Łódzkim kontynuowałem tę pracę dydaktyczną na Wydz. Ekonomiczno-Socjologicznym. Od 1964 r. kieruję tu Zakładem Ekonomii Politycznej w Katedrze Ekonomii Politycznej, przekształconej niedawno w Instytut. Tutaj prowadzę pracę naukową i dydaktyczną z grupą ponad dwudziestu osób...

... — w której wykształcił Pan Profesor dziewięciu doktorów.

— Nie, sześciu. Sześciu w Łodzi i trzech w Warszawie. W sumie rzeczywiście dziewięciu. Wspomnę, że w naszym Zakładzie w Łodzi mamy także już jedną habilitację. Dalsze są kwestią czasu. A zatem moje ścisłe związki z Łodzią liczą sobie blisko lat dwanaście.

— Słowem z pierwszego pytania powinienem się szybko wycofać.

— Dlaczego? Przecież w ciągu tylu lat zebrałem sporo wrażeń z moich licznych powiązań z Łodzią i przynajmniej paroma radbym się podzielić.

Z łódzkim środowiskiem naukowym współpracuję bardzo chętnie, cenię je za pracowitość i większą koncentrację naukową, niż w innych ośrodkach naukowych w kraju. Właśnie te odczucia zaważyły na mojej decyzji przyjęcia zaszczytnego i odpowiedzialnego stanowiska rektora Uniwersytetu Łódzkiego, które mi zaproponowano.

A jeśli chodzi o samo miasto. Już prawie od dwunastu lat obserwuję w Łodzi kolosalne zmiany na lepsze. Miasto się rozbudowało, nabiera cech nowoczesnego ośrodka przemysłowego, powstało szereg nowych obiektów użyteczności publicznej, nowe osiedla mieszkaniowe. Wiele ważnych dla miasta prac znajduje się w toku realizacji. Przeobrażenia zachodzące w Łodzi są szczególnie widoczne w okresie ostatnich paru lat. Być może, łodzianie, ocierając się codziennie o sprawy swego miasta, nie widzą tych zmian tak wyraźnie, jak ktoś, kto ogląda je z zewnątrz.

— Panie Profesorze, po objęciu funkcji Rektora Uniwersytetu Łódzkiego, dostrzegł Pan z pewnością wiele nie rozwiązanych jeszcze problemów uczelni, które hamują jej dalszy rozwój. Jakie spośród nich uważa Pan Profesor za najpilniejsze do rozstrzygnięcia?

— Odnoszę wrażenie, że Uniwersytet Łódzki był niedoceniany przez władze centralne. Z upływem lat nawarstwiło się wiele spraw, które trudno załatwić za jednym zamachem.

Podstawowym problemem jest zła baza materialna Uniwersytetu. Już choćby samo rozlokowanie uczelni w trzydziestu kilku punktach miasta utrudnia, a nieraz wręcz uniemożliwia, sprawne kierowanie tak dużym zespołem. A jest on naprawdę duży: 12 tysięcy studentów, ponad 180 profesorów i docentów, 800 adiunktów i asystentów, około 1300 pracowników obsługi. W sumie blisko piętnaście tysięcy osób, co, w przybliżeniu, odpowiada liczbie mieszkańców Aleksandrowa.

Tylko jeden wydział: Ekonomiczno - Socjologiczny ma względnie dobre warunki do pracy, inne, w większości, mieszczą się w gmachach adaptowanych, nieraz starych ruderach. Nie stwarza to, oczywiście, warunków, sprzyjających wykonywaniu zadań dydaktycznych uczelni.

A zatem priorytetowym zamierzeniem jest rozbudowa bazy materialnej Uniwersytetu. Mamy już taki plan rozbudowy uczelni. Zakładamy w nim wykonanie dużych inwestycji do końca bieżącego Planu 5-letniego, wartości ponad stu pięćdziesięciu milionów złotych. Kilka ważniejszych, to budowa Instytutu Fizyki, Instytutu Chemii, budowa nowych domów akademickich, hotelu dla asystentów, stacji hydrobiologicznej, obiektu sportowego dla młodzieży akademickiej. Ogrodu Botanicznego i innych. Inwestycje te chcemy rozpocząć w latach 1973 i 1974. Niestety, dochodzą mnie już sygnały, że środki naszego ministerstwa są ograniczone, a moce przerobowe w Łodzi niewielkie. Dwie niebagatelne przeszkody. Liczę jednak na przyjazne stanowisko i poparcie łódzkiej instancji partyjnej, z którą nasze stosunki układają się nad wyraz dobrze, jak również na życzliwą pomoc Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi.

Realizacja tych inwestycji w zaplanowanym czasie jest nieodzowna. Obok stworzenia odpowiednich warunków dla pracy dydaktycznej i naukowej na Uniwersytecie Łódzkim mają one także nader istotne znaczenie dla rozwoju nauk stosowanych na Uniwersytecie, które z kolei odgrywają ważną rolę w dalszym rozwoju łódzkiego ośrodka przemysłowego. Ponieważ leży to w interesie przemysłu, przeto liczymy na poparcie i z tej strony.

Następny problem, to przyśpieszenie tempa badań naukowych. Od pewnego czasu uległo ono pewnemu zwolnieniu wskutek trudności integracyjnych środowiska akademickiego. Być może, iż przyczyn tego zjawiska należy szukać w zbyt szybkim przeprowadzeniu reform na Uniwersytecie Łódzkim przy pomocy metod administracyjnych.

Bardzo istotnym zadaniem, które musimy szybko rozwiązać jest umocnienie instytutów, integracja środowisk naukowych, nieustanne rozszerzanie badań i poszukiwań naukowych. Rozwój nauki we współczesnym świecie, w epoce rewolucji naukowo-technicznej, wymaga poważnych nakładów i powinien się dokonywać w sposób selektywny. Metody pracy chałupniczej w sferze nauki przynoszą niepowetowane szkody.

Pragnąłbym, by można kiedyś mówić o łódzkiej szkole w takich, przykładowo, dziedzinach nauki, jak matematyka, fizyka, mikrobiologia, geografia, socjologia, ekonomia polityczna i innych. Żeby te szkoły łódzkie liczyły się w nauce europejskiej, a może nawet światowej. Pragniemy więc wytypować węzłowe kierunki uderzenia, znaleźć środki na rozwój określonych dyscyplin naukowych. Pozycja uniwersytetu zależy bowiem od jego pozycji naukowej. Będziemy się liczyć w Polsce, jeśli zajmiemy odpowiednie miejsce na mapie naukowej.

Dalej, sprawa aktywizacji młodzieży uniwersyteckiej. Wielki problem. Pokutuje wśród młodzieży minimalistyczna tendencja w przyswajaniu wiedzy: zdać egzamin na stopień „państwowy", na tróję. Będziemy dążyć do przełamania tego nastawienia drogą realizowania zasady współpartnerstwa w działaniu. Musimy dokładnie zbadać, jak są ukierunkowane inicjatywy młodzieży. Wiadomo, na przykład, że nasza młodzież chciałaby współdecydować o losach uczelni. Będziemy się starali stworzyć odpowiednie formy, umożliwiające realizację zasady takiego współpartnerstwa. Oczywiście chodzi tu — i należy to mocno podkreślić — nie tylko o prawa, lecz i o b o w i ą z k i młodzieży.

Bardzo istotną sprawą są warunki naukowo-socjalne pracowników Uniwersytetu. Mam na myśli przede wszystkim trudne warunki mieszkaniowe naszej kadry naukowej i dydaktycznej. Pomoc ze strony władz miejskich jest tu konieczna. Naukowiec musi mieć w domu odpowiednie warunki do pracy. Pochodny problem, to konieczność polepszenia warunków rekreacji pracowników nauki, stworzenie ośrodków wypoczynkowych. Szereg wyższych uczelni w Polsce ma takie ośrodki wypoczynkowe.

— Program rozwoju uczelni jest bardzo szeroki i napięty, spraw do załatwienia mnóstwo. W trakcie rozwiązywania tych wszystkich złożonych problemów wyłonią się z pewnością takie lub inne trudności. Jakich obawia się Pan najbardziej?

— Już dziś stoję w obliczu dwóch trudności i tych lękam się najwięcej. Pierwsza jest natury subiektywnej. Niepokoi mnie, czy potrafię sobie ułożyć dobre stosunki z naszym środowiskiem. Wprawdzie mówią mi przyjaciele i znajomi, że mam niejaki talent w stwarzaniu dobrych stosunków międzyludzkich. Wierzę, że się nie mylą. Zależy mi na szczerych, koleżeńskich stosunkach, opartych na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Jest to nieodzownym warunkiem powodzenia przy rozwiązywaniu różnorodnych i skomplikowanych problemów naszej uczelni.

Po drugie — troską napawa mnie myśl, czy aby uda nam się zrealizować w całej rozciągłości nasze zamierzenia w zakresie poprawy warunków materialnych Uniwersytetu, rozbudowy bazy naukowej uczelni. To jeden z najważniejszych wymogów zajęcia odpowiedniej pozycji naukowej w Polsce. Jest to moją wielką troską, największą. Ale, jak już powiedziałem wcześniej, liczę w tym na zrozumienie i pomoc Komitetu Łódzkiego naszej Partii, Miejskiej Rady Narodowej, a także wojewódzkiej instancji partyjnej i Wojewódzkiej Rady Narodowej. Uniwersytet Łódzki posiada bowiem, działające na zasadzie filii, Wyższe Studium Nauczycielskie w Zgierzu, a także szereg punktów konsultacyjnych na terenie województwa, powiązanych z Uniwersytetem.

— Panie Profesorze, jako Rektor Uniwersytetu Łódzkiego ma Pan już z pewnością koncepcję planu pracy uczelni. Czy zechciałby Pan uchylić rąbka tajemnicy i zaznajomić naszych Czytelników z ogólnymi założeniami tego planu?

— Każdy uniwersytet jest strukturą tradycjonalistyczną. Nie należy w nim przeprowadzać zbyt częstych rewolucji, a raczej doskonalić to, co do tej pory funkcjonowało w nim dobrze. Będę się starał kontynuować i rozwijać dobre tradycje Uniwersytetu. Pragnę wprowadzić pewne nowe kierunki działania, których intencją jest zwiększenie kulturotwórczej roli Uniwersytetu w środowisku łódzkim. Problem jest skomplikowany i wymaga przemyśleń. Niemniej, już w najbliższym czasie chcemy zintensyfikować naszą współpracę ze środowiskiem nauczycielskim. Bieżący rok 1972/73 jest pierwszym rokiem wielkich reorganizacji systemu kształcenia w oparciu o zalecenia Komisji Eksnertów. Chcemy się włączyć do tego procesu przemian. Na początek będziemy rozwijać działalność naszego Wyższego Studium Nauczycielskiego, by umożliwić absolwentom byłych Studiów Nauczycielskich poszerzenie ich wiedzy teoretycznej i zawodowej oraz zdobycie pełnego wyższego wykształcenia. Podjęliśmy już konkretne działanie, zmierzające do rozwoju systemu studiów podyplomowych. Wprawdzie mamy ich sporo, ale chcemy stworzyć szereg nowych, głównie dla nauczycieli. Studia podyplomowe wprowadzimy we wszystkich wydziałach Uniwersytetu Łódzkiego. Aktualizacja wiedzy nauczycieli, poprzez studia podyplomowe, ma wielkie znaczenie dla realizacji nowych programów nauczania w szkolnictwie. Kilka takich studiów chcemy uruchomić już od lutego 1973 roku. Wspomnę na marginesie, iż zagadnienie aktualizacji wiedzy jest wielkim problemem naszej epoki. Zdobyta wiedza starzeje się po upływie ośmiu, dziesięciu lat. Właściwie prawie każdy pracownik, posiadający wyższe wykształcenie, powinien co dziesięć lat odbywać studia podyplomowe.

Zorganizujemy cykl wykładów publicznych, na których zaznajomimy środowiska łódzkie z pracami naukowymi, prowadzonymi na Uniwersytecie. Profesorowie i docenci UŁ zaznajomią słuchaczy z własnymi osiągnięciami naukowymi oraz aktualnym stanem badań w różnych dziedzinach nauki.

Zapoczątkujemy szereg sesji naukowych, służących integracji Łodzi i regionu. Jeszcze tego roku odbędą się dwie takie sesje: pierwsza z okazji 50-lecia powstania Związku Radzieckiego, którą organizujemy wespół z Komitetem Łódzkim PZPR oraz druga — z okazji 500-lecia urodzin Mikołaja Kopernika. Tak się składa, że akurat jestem jednym z nielicznych w Polsce specjalistów z zakresu studiów, dotyczących ekonomicznych poglądów Kopernika.

Chcemy zacieśnić więzy Uniwersytetu z praktyką gospodarczą Łodzi. Zależy nam, by nasi pracownicy naukowi włączyli się do rozwiązywania problemów, ważnych dla naszej gospodarki komunalnej, przemysłu, oświaty, kultury itp. Podpiszemy w tym celu szereg umów, ustalających zasady partnerstwa w tej dziedzinie. Współpraca ta ma duże znaczenie naukowe, pozwala bowiem na penetrację wielu dziedzin życia społecznego, gospodarczego, przemysłowego, administracyjnego i tak dalej. Nie obojętny jest dla nas także materialny aspekt tej współpracy z przemysłem, ponieważ stwarza perspektywy otrzymania środków na kupno aparatury naukowej.

Takie, mniej więcej, w dużym skrócie, są założenia planu pracy Uniwersytetu na najbliższą przyszłość.

— Czy absorbująca funkcja Rektora Uniwersytetu pozwoli Panu Profesorowi na kontynuowanie pracy naukowej?

— Chciałbym połączyć te obie czynności: funkcję rektora z pracą naukową. Chciałbym, ale czy będę mógł? Pracownik naukowy, który odchodzi od badań naukowych, wyjaławia się, przestaje być naukowcem i zostaje administratorem, lepszym lub gorszym. Dotąd udawało mi się łączyć funkcje administracyjne z pracą naukową, będę próbował to robić nadal. Zobaczymy.

— Czy ma Pan Profesor w przygotowaniu jakąś pracę naukową?

— Tak. Mam teraz, jak to się mówi, na warsztacie podręcznik uniwersytecki: „Ekonomia polityczna kapitalizmu". Chciałbym się z tym uporać możliwie szybko, bo czeka już na mnie materiał przygotowany do obszernego dzieła, które chciałbym, żeby było dziełem mego życia: „Ogólnej teorii przemian strukturalnych w gospodarce". Czy uda mi się to zamierzenie zrealizować w jakiejś niezbyt odległej przyszłości, będzie zależało od sprawnej reorganizacji pracy administracyjnej Uniwersytetu. Wspomnę na marginesie, że ministerstwo zaaprobowało ogólny zarys pewnych zmian w strukturze administracyjnej Uniwersytetu Łódzkiego.

Chciałbym, oczywiście, kontynuować także pracę dydaktyczną. Na razie prowadzę dwa wykłady kursowe oraz seminarium doktoranckie. Uważam, że pracownik nauki powinien przekazać młodzieży cały swój dorobek naukowy.

— Dziękuję za rozmowę i jednocześnie, w imieniu redakcji naszego tygodnika, życzę Panu Rektorowi pomyślnej realizacji wszystkich zamierzeń.

Rozmawiał: WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Pod hasłem: WSPÓŁCZESNA SZKOŁA prezentujemy dziś artykuły i reportaże o pracy nauczycieli w szkołach Łodzi i województwa łódzkiego. Problemami oświaty pragniemy zajmować się systematycznie, rozumiejąc, że są to obecnie zagadnienia należące do najważniejszych w kraju. Współczesna szkoła, choć często zarzuca się jej tradycyjność, przygotowuje ludzi, którzy będą działali na przełomie XX i XXI wieku, a więc przygotowuje ludzi dla pracy w socjalistycznym społeczeństwie, wchodzącym w okres zwycięskiej rewolucji technicznej. Stąd takie zainteresowanie wszelkimi zmianami, jakie zachodzą w oświacie.

Podjęliśmy obecnie tylko niektóre z problemów współczesnej szkoły, przedstawiliśmy tylko niektórych z tysięcznej rzeszy nauczycieli. prezentując tylko niektóre z ich poglądów i opinii. Dziś przedstawiamy te problemy piórami dziennikarzy, w przyszłości chcemy też udostępniać nasze łamy nauczycielom i działaczom oświaty.

Korzystając z okazji, że bieżący numer „ODGŁOSÓW" ukazuje się w kioskach w przededniu DNIA NAUCZYCIELA pragniemy przekazać wszystkim wychowawcom i nauczycielom najserdeczniejsze życzenia. Życzymy Wam coraz więcej zadowolenia z Waszej trudnej, owocnej i tak potrzebnej pracy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Dla przyszłości

Wydawało się, że uzyskanie odpowiedzi na pytanie: jaki jest współczesny nauczyciel? — nie będzie nastręczało większych trudności. Wystarczy przecież sięgnąć do statystyki, aby dowiedzieć się, ilu nauczycieli legitymuje się dyplomem studiów wyższych, ilu ukończyło tylko studia nauczycielskie, a ilu posiada wykształcenie średnie. W oparciu o te dane można pokusić się o pewne uogólnienie. Ustalić, jacy ludzie będą dokonywali rewolucji w oświacie?

Rzeczywistość okazała się jednak bardziej skomplikowana.

— Chyba nie o współczesnego nauczyciela trzeba pytać — powiedziano mi — ale o nauczyciela przyszłości. Nie o to, jaki jest, ale o to, jaki powinien być.

Zgodziłem się z tą opinią, bo pamiętam, że polska szkoła zmienia się już od 1961 roku. Reforma szkoły podstawowej zaczęła się właśnie w 1961 roku, a szkoły średniej — w 1966 roku. Zmieniono wtedy programy nauczania, wprowadzając do nich takie partie materiału, z którymi nauczyciele nie mieli okazji zetknąć się w czasie przygotowywania się do zawodu. Trzeba więc teraz pomóc im nie tylko w pogłębieniu i poszerzeniu wiedzy, ale również nauczyć ich metod jej przekazywania. Nauczyciel dziś musi już nie tylko nadążać za zmianami, jakie zachodzą w oświacie, ale je starać się wyprzedzać.

— Środowisko nauczycielskie nie jest statyczne — powiedziano mi dalej — podlega ono również szybkim przemianom. I np. jeśli w województwie łódzkim, jeszcze przed laty, uczyło się 700 nauczycieli, to dziś ilość dokształcających się czy to na WSN, czy na wyższych uczelniach znacznie się zwiększyła.

— Ludzie bardzo często krytykują pracę nauczycieli — usłyszałem również — nie zdając sobie sprawy ani z trudności tej pracy, ani uświadamiając sobie tego, że krytyce podlegają najczęściej jednostkowe przypadki. Nie jesteśmy przeciw takiej krytyce. Trzeba jednak pamiętać, że znacznie wzrosły wymagania, że zmieniły się kryteria, według których oceniamy pracę każdego środowiska zawodowego.

— A jednak wbrew temu, co mówi się na temat nauczycieli — powiedział jeden z pracowników nauki — badania wykazują, że wzrósł prestiż nauczyciela w opinii społecznej. W maju tego roku przeprowadziłem takie badania i porównałem ich wyniki z wynikami badań przeprowadzonych przed z górą 10 laty. W oczach opinii społecznej nauczyciel przesunął się z trzeciej na drugą pozycję i dał się wyprzedzić jedynie lekarzowi.

Uważnie wysłuchałem tych opinii i postanowiłem. poszukać modelu nauczyciela przyszłości.

1.

Od statystyki nie można jednak uciec. Jeśli nawet chce się pokazać cel, do którego zmierza w swoich przemianach nauczycielskie środowisko, to trzeba przecież pokazać punkt, z którego wychodzi. Sięgnąłem zatem do danych statystycznych, aby dowiedzieć się, że w Łodzi mamy przeszło 7,5 tys. nauczycieli i wychowawców, a w województwie łódzkim — przeszło 16,5 tys.

W ŁODZI 29,3 proc. nauczycieli posiada wykształcenie wyższe, 51,4 proc. — półwyższe, 19,2 proc. — średnie, a 6 nauczycieli nie ma pełnego średniego.

W WOJEWÓDZTWIE ŁÓDZKIM 2 046 nauczycieli legitymuje się dyplomem ukończenia szkoły wyższej, ale w szkołach podstawowych tylko 369. Dalej, 10 653 nauczycieli ma ukończone studia nauczycielskie, z tego przeszło 9 tys. pracuje w szkołach podstawowych. Pozostali — to absolwenci liceów pedagogicznych.

W Łodzi wśród 487 kierowników i dyrektorów szkół wykształcenie wyższe posiadało 170 osób, a w województwie łódzkim wśród 2 673 kierowników i dyrektorów wykształcenie wyższe posiada 304, ukończone studium nauczycielskie — 1 810.

— Proszę pamiętać — powiedziano mi, kiedy podzieliłem się z nauczycielami swoimi wątpliwościami — że nie jest wcale proste i to niezależnie od wartości samego programu.

Dalszy ciąg na str. 8

KONRAD FREJDLICH

PRZEZ kuchenne DRZWI

Problem zapóźnienia programów szkolnych, w nieznacznym tylko stopniu uwzględniających najwybitniejsze zjawiska literackie XX wieku, nie jest nowy i już niejednokrotnie podnoszony był przez prasę. Sam zresztą pisałem na ten temat w roku ubiegłym na łamach „Odgłosów" (nr 18 z 2 maja) zapytując, jakie miejsce w wychowaniu ideowym i estetycznym młodych obywateli Polski zajmuje literatura współczesna. Sprawa jest na tyle poważna, że zajął się nią na specjalnej sesji wyjazdowej Zarząd Główny Związku Literatów Polskich. Bo chociaż program nauczania języka polskiego w liceach ogólnokształcących obiecuje rozwijanie przez szkołę **„wrażliwości na piękno języka", „kształtowanie umiejętności analizy i interpretacji utworu literackiego oraz rozwijanie wrażliwości na ideowe i artystyczne wartości literatury"**, to wiemy przecież, że zrealizowanie tych założeń nie jest wcale proste i to niezależnie od wartości samego programu.

Nie oznacza to oczywiście, że nie powinniśmy uważnie przyjrzeć się, co z dorobku literackiego ludzkości zamierza szkoła zaprezentować swoim uczniom. Od ubiegłego roku program nauczania języka polskiego pozbył się tymczasowości, a opracowała go komisja rzeczoznawców, w której zasiadały autorytety tej miary co **Jan Zygmunt Jakubowski, Stanisław Jodłowski, Jadwiga Kulczycka-Saloni, Andrzej Lam, Zenona Macużanka.** Nie jest to na pewno program idealny, ale lepszy niż dotychczasowe, zwłaszcza ten z końca lat pięćdziesiątych, któremu sam podlegałem jako uczeń liceum. Jest lepszy dzięki celniejszemu wyborowi lektur współczesnych, bo uwzględnia nawet pozycje, które swego czasu budziły opór pedagogów ze względu na wyeksponowany wątek erotyczny jak choćby „Komu bije dzwon" Ernesta Hemingwaya i przypominam sobie kampanię prasową, którą trzeba było stoczyć w tej sprawie. Jest także lepszy dlatego, że uwzględnia szerszy wachlarz propozycji literatury współczesnej i to już od pierwszej klasy liceum.

Ale kiedy zagłębić się w szczegóły, prezentacja literatury XX wieku w liceach nie przedstawia się bynajmniej tak różowo, szkoła nie może się jakoś pozbyć starych praktyk i nawyków. Współczesna proza polska jest reprezentowana na liście lektur obowiązkowych zaledwie „Medalionami" Zofii Nałkowskiej, „Popiołem i diamentem" Jerzego Andrzejewskiego, „Pożegnaniem z Marią" Tadeusza Borowskiego oraz nowelą Marii Dąbrowskiej „Na wsi wesele". Jeszcze ubożej przedstawia się prezentacja polskiej współczesnej dramaturgii: wśród lektur obowiązkowych znajdziemy zaledwie „Niemców" Leona Kruczkowskiego. Szczególne zaniedbania znajdziemy na liście utworów poetyckich. Z pokolenia wojennego uwzględniony został tylko Krzysztof K. Baczyński. Poezję powojenną reprezentuje Julian Tuwim, Władysław Broniewski, Konstanty I. Gałczyński, Julian Przyboś, Jarosław Iwaszkiewicz, Mieczysław Jastrun, Tadeusz Różewicz. W doborze nazwisk widać więc wyraźnie cezurę lat pięćdziesiątych.

Te braki uzupełniać ma lista lektur dodatkowych z literatury polskiej. Jak też światowej. Tu sprawa nie przedstawia się już tak dobrze. Z wielkich prozaików europejskich XX wieku uczeń słyszy nazwiska — T. Manna, M. Szołochowa, A. Camusa, J. Conrada, nie dowie się niczego o F. Kafce, R. Musilu, H. Brochu, o Joyce'owskim monologu wewnętrznym, o francuskiej antypowieści. Ale już wręcz katastrofalnie przedstawia się zagadnienie popularyzacji współczesnej światowej poezji: tutaj szkoła nie ma do zaproponowania uczniowi dosłownie nic. A przecież lektury uzupełniające, zestawione na długiej liście, będą przerabiane tylko w nieznacznym ułamku, poprzez dwie wybrane pozycje z literatury polskiej i światowej. W trzeciej klasie liceum polska proza współczesna może być reprezentowana poprzez powieść Tadeusza Nowaka, „A jak królem, a jak katem będziesz" i „Pamiątkę z Celulozy" Igora Newerlego, albo też przez „Dni klęski" Wojciecha Żukrowskiego i na przykład „Niebo w płomieniach" Jana Parandowskiego. Albo jeszcze inaczej, w zależności od tego, jaki zestaw z tej listy wybierze polonista. W czwartej klasie liceum współczesna proza krajowa może kojarzyć się uczniowi z powieścią Romana Bratnego „Kolumbowie rocznik dwudziesty", z „Urzędem" Tadeusza Brezy czy z „Kartoteką" T. Różewicza.

Ja wiem, że sprawa jest trudna, że nie sposób zapoznać ucznia z tym wszystkim, co proponuje wciąż rozwijająca się literatura współczesna. Zwłaszcza, że

Dalszy ciąg na str. 10

WSPÓŁCZESNA SZKOŁA

BOGDA MADEJ

Eksperyment z ulicy Miedzianej

Można to powiedzieć bardzo zasadniczo: **„W wyniku zachodzących przemian gospodarczych, społecznych i kulturalnych, rozwoju techniki i środków masowego przekazu, obserwuje się daleko posuniętą niewydolność funkcji opiekuńczo-wychowawczej rodziny i bezradność rodziców wobec wymagań, jakie w zakresie wychowania niesie ze sobą współczesne życie".**

Można to powiedzieć prościej — współczesne życie wypłatało figla nie tylko rodzicom. Pokazało, że i szkoła w swojej tradycyjnej postaci przeżywa kryzys. Stąd kolejne reformy, eksperymenty i praca Komitetu Ekspertów nad raportem o stanie oświaty w Polsce.

Pedagodzy już dość dawno zaczęli szukać sposobów przyjścia z pomocą rodzinie w jej wychowawczym działaniu. I chciałabym to podkreślić od razu — **ma to być pomoc, a nie zastępowanie rodziców w ich roli wychowawców młodego pokolenia.** Jedną z propozycji pedagogów, propozycji, która obok poszerzenia funkcji opiekuńczo-wychowawczej szkoły pozwala również na intensywniejszą dydaktykę, jest szkoła całodzienna.

NIE JEST TO POMYSŁ NOWY. W krajach zachodnioeuropejskich początki całodziennego kształcenia sięgają daleko w przeszłość. W krajach socjalistycznych szkoły całodzienne istnieją już od kilku przynajmniej lat. Wymownym przykładem jest NRD. W 1958 roku było tam 10 takich szkół, w 1960 — 60, obecnie znajdują się one w każdym większym ośrodku miejskim.

W Polsce z terminem „szkoła całodzienna" przez długi czas można się było spotkać jedynie w literaturze pedagogicznej. Postulat „organizowania szkół całodziennych zarówno w mieście, jak i na wsi, zapewniających młodzieży właściwe warunki dydaktyczno-wychowawcze" Zespół Ekspertów do Spraw Rozwoju Społecznego i Poziomu Życia Ludności z Komisji Planowania przy Radzie Ministrów sformułował dopiero w 1971 roku.

Ale wtedy mieliśmy już w Polsce pierwszą szkołę całodzienną, którą we wrześniu 1970 roku powołano w Łodzi przy ulicy Miedzianej.

DLACZEGO W ŁODZI? Decyzji łódzkich władz oświatowych nie trzeba nawet szeroko uzasadniać. Wystarczy przypomnieć wielkrotnie powtarzane fakty — miasto typowo robotnicze, z najwyższym odsetkiem pracujących na dwie lub trzy zmiany kobiet, które przecież tradycyjnie zajmują się wychowywaniem dzieci, jeszcze sporo ciasnych i małych mieszkań, w których trudno stworzyć dziecku właściwe warunki do odrabiania lekcji, narastające potrzeby wielkiego ośrodka przemysłowego, w którym wiele problemów z zakresu wychowania i nauczania trzeba szybko rozwiązać. A przypomnieć też wypada, że Łódź pod względem wyników nauczania znajduje się wśród miast wydzielonych na ostatnim miejscu. Bardziej interesująca może być odpowiedź na pytanie:

DLACZEGO SZKOŁA PRZY MIEDZIANEJ? Eksperymentalna całodzienna szkoła podstawowa nr 170 właściwie niczym specjalnie nie różniła się od innych szkół. Typowy budynek, typowi, jeśli chodzi o środowisko społeczne — uczniowie. Większość, bo 68,2 proc. ma oboje rodziców pracujących, najczęściej na dwie lub trzy zmiany. 18,9 proc. — pochodzi z rodzin niepełnych, ponad 60 proc. rodziców posiada wykształcenie podstawowe, 24,5 proc. uczniów zajmuje z rodziną mieszkania 1-izbowe, 40,2 proc. — 2-izbowe.

Szkoła nr 170 była jednak na Widzewie szkołą wiodącą, a więc nie bardzo typową. Zgrany zespół zaangażowanych i doświadczonych nauczycieli gwarantował powodzenie eksperymentu. Opiekę naukową nad szkołą objął kierownik Zakładu Organizacji Szkolnictwa Instytutu Pedagogiki w Warszawie — doc. dr hab. **Tadeusz WILOCH**, a na miejscu dyrektor Okręgowego Ośrodka Metodycznego — mgr **Tadeusz PODWYSOCKI.** W tej chwili szkoła rozpoczęła trzeci rok swojej nowej pracy i można już chyba powiedzieć, że eksperyment się udał. Powiedziałabym więcej — dla zespołu ludzi, którzy go wcielili w życie już nie jest eksperymentem. Jest normalną, codzienną pracą.

CO TO ZNACZY — CAŁODZIENNA? W ogromnym skrócie jest to szkoła, w której wszyscy uczniowie przebywają do późnych godzin popołudniowych. Po normalnych lekcjach przerwa na obiad, potem czas przeznaczony na rekreację — spacer lub zajęcia sportowe — potem wspólne odrabianie lekcji. Najpierw, pod opieką wychowawców, a w razie potrzeby — specjalistów z danych przedmiotów, odrabianie zadań pisemnych, potem już samodzielne — ustnych. Podczas popołudniowego utrwalania materiałów uczniowie korzystają ze wszelkich pomocy naukowych, którymi dysponuje szkoła, samodzielnie łączą się w zespoły wspólnej nauki.

Jakie są korzyści tego systemu? Mówią uczniowie:

— Dawniej odrabiałem w domu tylko prace pisemne. Jak mama kazała uczyć się, to tylko siedziałem nad książką i udawałem, że czytam. Teraz już nie mogę tak robić, bo wychowawca sprawdzi. A jak trzeba — pomoże.

— Cieszę się, że już nie noszę do domu zeszytów i książek. Wychodzę ze szkoły, i już nie muszę myśleć o lekcjach, bo mam je odrobione i mogę dowolnie dysponować wolnym czasem.

— Mówi dyrektor szkoły, Maria **KORDALA:**

— Dzieci przestały bać się szkoły, przestały bać się nauczyciela. Nie ma teraz pośpiesznego ściągania gdzieś po kątach, nie ma wagarów, od dwu lat nie było w naszej szkole wypadku przestępczości. Najtrudniej było nauczyć dzieci zasadniczej rzeczy — jak należy uczyć się samodzielnie. Myślę, że mamy to już za sobą. Spadła drugoroczność, podniosły się wyniki nauczania.

Te opinie potwierdziły również badania prowadzone przez organizatorów eksperymentu *). Jeśli na przykład w 1971 roku w klasach VII-mych z języka polskiego było 14,8 proc. ocen niedostatecznych, to już w 1972 roku — 6,1 proc. Podobnie z matematyki: w 1971 roku było 13,5 proc. ocen niedostatecznych, w 1972 już tylko 5 proc. Przeprowadzono również badania porównawcze w klasach IV-tych osiemnastu szkół w dzielnicy widzewskiej. Okazało się, że w wypadku matematyki czwartoklasiści szkoły nr 170 znaleźli się powyżej przeciętnej średniej, natomiast z języka polskiego wyprzedzili swoich rówieśników — jak to się w języku sportowym mówi — o kilka długości.

Szkoła całodzienna z ulicy Miedzianej od dwu lat realizuje cel, jaki przed nią postawiono. Pomaga rodzicom wszystkich swoich uczniów, przejmując na siebie więcej obowiązków dydaktycznych i wychowawczych, organizując dzieciom czas w którym ich rodzice są jeszcze w pracy. Ale na razie jest w Łodzi jedyną szkołą całodzienną.

KIEDY ZACZNIEMY UPOWSZECHNIAĆ TEN EKSPERYMENT? W odpowiedzi na to pytanie usłyszałam, że jeszcze nie tak prędko. Myśli się dopiero o latach osiemdziesiątych. Nie stworzono bowiem jeszcze modelu szkoły całodziennej w takim stopniu, aby już go było można w Łodzi upowszechniać. Nie jestem o tym do końca przekonana. To prawda, że potrzebne są większe nakłady finansowe. To prawda, że **szkoła przy ulicy Miedzianej boryka się jeszcze z wieloma trudnościami.** Nie posiada dobrej, dużej sali gimnastycznej, korzysta z boiska sąsiedniej szkoły, nie ma należytego wyposażenia klas, odpowiedniego pomieszczenia na świetlicę, od przeszło roku „Domus" nie dostarcza szkole zamówionych regałów. Za poważne nieporozumienie uważam fakt, że w bieżącym roku szkolnym władze oświatowe zabrały z eksperymentalnej szkoły kilku doświadczonych pedagogów. Ale przecież mimo to szkoła całodzienna pracuje normalnie.

W tym roku na 10 wolnych miejsc w pierwszych klasach dla dzieci spoza rejonu szkoły 170, wpłynęło aż 60 podań. To chyba najlepiej świadczy o potrzebie powołania podobnych szkół w innych dzielnicach Łodzi. Zapotrzebowanie społeczne, a także nieuchronna konieczność zmian w modelu szkoły współczesnej, zmian, które muszą objąć i funkcje dydaktyczne i funkcje wychowawcze, każą chyba inaczej traktować wszelkie eksperymenty. Po prostu trzeba odważniej, bardziej zdecydowanie i szybciej wprowadzać je w życie. Przykład szkolnictwa w krajach socjalistycznych powinien być dopingiem w naszych poczynaniach. Szkoła całodzienna, nad którą my dopiero eksperymentujemy, dawno przestała być u naszych sąsiadów eksperymentem.

Mamy w Łodzi szkoły, które pracują na jedną zmianę i nie są gorzej wyposażone niż szkoła przy ulicy Miedzianej. Mamy wielu doświadczonych, dobrych pedagogów. Jeśli traktujemy szkołę całodzienną jako jeden z wariantów szkoły współczesnej, to już trzeba pod tym kątem budować nowe obiekty szkolne, już teraz przygotować rozsądny program rozwoju takich szkół. **Zbyt długie zwlekanie i nadmierna ostrożność mogą nas narazić na wysokie koszty społeczne. Nie zapominajmy bowiem, że dziś uczymy ludzi jutra.**

*) Dane dotyczące wyników nauczania szkoły przy ul. Miedzianej pochodzą z badań mgr T. Podwysockiego.

Dla przyszłości

Dalszy ciąg ze str. 7

mi tymi danymi — że nie tak jeszcze dawno pedagog z ukończonym studium nauczycielskim miał pełne kwalifikacje do objęcia stanowiska kierownika szkoły. Dziś patrzymy na to już inaczej, dziś chcemy, aby każdy kierownik miał studia wyższe. Ale to jednocześnie daje pojęcie o szybkości zmian, jakie zachodzą i muszą zachodzić w tym środowisku.

2.

Każdego dnia rano, kiedy nauczyciel staje przed zapełnioną klasą, czuje się w obowiązku przekazania uczniom maksimum tej wiedzy, do przekazania której zobowiązuje go program. Dziś jednak — jak twierdzą specjaliści — nie wystarczy już dać uczniowi pewnego zestawu wiedzy, trzeba go też nauczyć samokształcenia, wyrobić w nim odpowiednie nawyki, aby mógł pojąć, że uczenie się nie kończy wraz z otrzymaniem świadectwa szkolnego. Trzeba go po prostu przygotować do dalszego samodzielnego życia we współczesnym, szybko rozwijającym się i zmieniającym świecie. Jeśli rewolucja naukowa ma stać się rzeczywistością, a tak przecież musi być nieuchronnie, to współczesny człowiek nie może poprzestać na tym, co mu dała szkoła. Ten zespół wiedzy szybko się zestarzeje, straci aktualność. Szkoła, przygotowując do życia, musi zatem z jednej strony uczyć myślenia, a z drugiej wyrabiać nawyki niezbędne później, kiedy człowiek znajdzie się sam na sam ze stale narastającą wiedzą.

Trzeba sobie uświadomić, że dzisiejsi uczniowie za lat 20—30 będą jeszcze czynni intelektualnie i zawodowo. A będzie to już początek XXI wieku. Szkołą, którą stale oskarża się o tradycyjność i skostnienie, przygotowuje ludzi dla przyszłości. Jaka będzie ta przyszłość? Mamy na ten temat dość mgliste wyobrażenie, tak jak nasi dziadowie, kiedy sami byli jeszcze młodzi, mieli mgliste wyobrażenia o czasach nam współczesnych. Jak postępować w tej sytuacji?

Specjaliści są skłonni uważać, że podstawową zasadą, jaką trzeba wyrobić w uczniu — to nauczyć go samodzielności. Przy tej okazji przypomina się o zasadzie kształcenia ustawicznego. Ale zdaniem niektórych kształcenie ustawiczne rozpoczyna się dopiero po ukończeniu szkoły. Inni — i tym jestem skłonny przyznać rację — uważają, że kształcenie to rozpoczyna się już w... przedszkolu i trwa do końca życia człowieka. Wniosek stąd prosty. Już w szkole trzeba wyrabiać w uczniach nawyki owego kształcenia ustawicznego. Ale stąd i drugi wniosek — takie same nawyki trzeba wyrabiać u nauczycieli. I to nie jest wcale taka prosta sprawa.

Wystarczy znów sięgnąć do statystyki, aby przekonać się, że np. w Łodzi wprawdzie 42,8 proc. nauczycieli ma od 20 do 35 lat, to jednak 34,5 proc. nauczycieli ma od 35—45 lat. Ich wiedza wyniesiona ze studiów wyższych czy studiów nauczycielskich, albo nawet jeszcze ze szkoły pedagogicznej, jeśli nie była uzupełniana, to dawno się zestarzała. Ludzi tych — przynajmniej w większości — nie nauczono zasad samokształcenia. Braki te trzeba nadrobić obecnie.

— Aby nauczyciel mógł innych uczyć samokształcenia — powiedziano mi w Okręgowym Ośrodku Metodycznym w Łodzi — musi się tego sam nauczyć. I to jest nasze podstawowe zadanie. Pozornie mogłoby się wydawać, że ośrodki metodyczne powołano, aby ułatwiać nauczycielom życie, ale w istocie my im życie utrudniamy w pozytywnym tego słowa znaczeniu. Staramy się stawiać przed nauczycielami coraz to nowe i trudniejsze zadania, aby zmuszać ich tym do samodzielnej pracy, do analizy swoich doświadczeń, szukania nowych rozwiązań. Staramy się budzić w nich niepokój. I to się nam po części udaje.

3.

Okręgowy Ośrodek Metodyczny w Łodzi prowadzi m. in. działalność wydawniczą. Ukazało się już drukiem przeszło 70 prac, których autorami są nauczyciele. Są to ich doświadczenia, tematy opracowywane zespołowo, wyniki konfrontacji teoretycznych założeń pedagogiki z jakże różnorodną praktyką. Interesujący może tu być fakt, że wśród autorów prac opracowanych przez nauczycieli większość pracuje w szkołach podstawowych. Kierownictwo Okręgowego Ośrodka Metodycznego w Łodzi skłonne jest fakt ten tłumaczyć nie tylko tym, że nauczyciele szkół podstawowych mają więcej czasu od nauczycieli szkół średnich, ale przede wszystkim tym, że praca w szkole podstawowej, gdzie rozpoczyna się kształcenie przyszłego dojrzałego człowieka, bardziej zmusza do szukania nowoczesnych rozwiązań. Nauczyciele zaczynają coraz powszechniej rozumieć, że błędy popełniane w szkole podstawowej będą się mściły przez całe nieraz życie, dziś jeszcze ucznia, ale za lat kilka dorosłego człowieka. I to poczucie odpowiedzialności zmusza do stałych poszukiwań, rodzi twórczy niepokój, którego wyniki ukazują się coraz częściej drukiem i służą pomocą innym.

4.

Poszukiwania modelu nauczyciela przyszłości pozwoliły mimo wszystko znaleźć odpowiedź na pytanie: jaki jest współczesny nauczyciel? Trzeba oczywiście pamiętać, że środowisko to jest znacznie zróżnicowane, a już szczególnie w województwie łódzkim. Trzeba też pamiętać, że kształtowało się ono w czasach, kiedy zawód ten znajdował się na samym dole tabeli płac. Przychodzili wówczas do tego zawodu ludzie, którzy nie bardzo mogli znaleźć sobie miejsce w innych zawodach, ludzie, którzy — tak by się wydawało — nie grzeszyli inicjatywami, nie byli zbytnio ekspensywni.

Dziś jest już inaczej. Dziś zawód nauczycielski stał się nagle popularny. Młodzi chętnie ten zawód wybierają. Jak twierdzą działacze oświatowi, kandydatów na nauczycieli jest więcej niż wolnych miejsc na uczelniach. To na pewno zjawisko pozytywne, które jednak będzie owocowało za kilka lat.

A przecież mimo tych ujemnych obciążeń środowisko nauczycielskie przechodzi poważne, wewnętrzne przemiany. Już teraz zaczynają się zarysowywać te cechy, które mają być podstawowymi u przyszłych nauczycieli. Po pierwsze — umiejętność stałego samokształcenia. Po drugie — dążenie do twórczego przetwarzania własnych doświadczeń. A więc nie tylko umiejętność przekazywania wiedzy innym, ale też umiejętność uogólnienia.

Czy wszyscy nauczyciele są tacy? Na pewno, nie. Ale tworzy się już czołówka, do której przyjdzie równać innym. Coraz powszechniej będzie się utrwalało przekonanie, że bez systematycznego uczenia się, bez umiejętności tworzenia nowych wartości pedagogicznych w oparciu o własne i cudze doświadczenia nie będzie można długo jeszcze być nauczycielem. Nauczycielem we współczesnej szkole. I to nie tylko w dużym mieście. Na wsi — choć ten proces będzie postępował znacznie wolniej — również.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

WSPÓŁCZESNA SZKOŁA

Ryszard Binkowski

Na początku drogi

Tramwaj nr 43 jedzie tu z Łodzi prawie godzinę. Co 30 minut przetacza się przez mały most w łukowatych żebrach, by wjechać w dolinę Neru, tu cholernie brudnego i cuchnącego. Kończy swój bieg na obszernym, kociolbistym placu.

Kamienna pustynia, ponurość, zielona wieżyczka studni sterczy pośrodku jak oaza, a dalej nowy, w jasnych ścianach, budynek GRN. Lecz tego pierwszego styku, tego wrażenia marazmu, ani te mury, ni zdewastowany kawałek skweru nie rozjaśniają, bo wokół kamieniczki w odrapanych murach, małe geesowskie sklepiki, puste wewnątrz, warsztaty rzemieślnicze zaniedbane, żadnego blichtru dwutysięcznemu Lutomierskowi, osadzie, a raczej wsi, która 700 lat temu na prawach miejskich żyła, nie przydają.

W tej wsi przed siedmiu laty kierownikiem szkoły został młody, smagły, nie herkulesowej budowy, lecz diablo energiczny i zdolny chłopak — STANISŁAW NOWACKI, rocznik 1938, czyli jeden z tych, co to się za późno, lub za wcześnie urodzili.

Droga Nowackiego na ten stołek kierowniczy w podstawówce była prosta. Ojciec i matka od 1920 roku pracowali w tym zawodzie. Na Ziemi Łódzkiej, dłuższy czas w Łaskiem. Wojna była, Hitler polskość tępił, ojciec do Kielc, do Guberni pojechał uczyć dzieci polskie. Zabrali go i w 43 poszedł z dymem w oświęcimskim kominie. Stasiek jeszcze wtedy był szczeniak, mało wiele rozumiejący...

W 45 wrócił z matką i rodzeństwem do Lutomierska, gdzie matka podjęła pracę. I w tym miejscu, tak na marginesie, dodać trzeba, że do ub. roku, czyli po 50 latach pracy, bez odznaczeń, a wciąż w dobrej formie, matka zakończyła karierę. Stąd też pewien wniosek się nasuwa z uogólnieniem, bom słyszał podobne opinie od licznych rozmówców — pedagogów. Nowa Karta Nauczyciela, dostatniejsze warunki stwarza nauczycielstwu, co jest godne pochwały, co jest wielkim osiągnięciem.

Ale stawia też jeszcze wiele palących problemów do rozpatrzenia.

Weźmy choćby, dla przykładu, rencistów, którzy otrzymają zwiększone renty. Idzie jednak o to, że przechodzący na rentę za jakieś 15 lat, uzyskają rentę o wiele wyższą. Choć nie przeżyli konspiracyjnej pracy w noc okupacji i nie tworzyli, jako siła najbardziej ofiarna, konstruktywna, nowej Polski. Za tę biedę, szykany, za pensje po 400 — 600 zł...

Nowacki coś o tym ostatnim wiedział, już jako mały knot. Miał 7 lat, jego siostra 6, brat 12. W tym trudnym, a przecież w nowej, wolnej Polsce czasie, siostra i brat poszli w innych kierunkach. Dziś jest z tego dumny. Z matki, która w tak trudnych warunkach potrafiła wyprowadzić swe dzieci na tzw. „ludzi". Brat — inżynier, siostra — magister farmacji.

A on? Też mierzył wyżej. Architektura mu się marzyła. Zrezygnował. Popracował po maturze, później znów próbował. Duża była siła atmosfery domu rodzinnego, saga rodu ciążyła...

Poszedł na SN, kierunek — wychowanie plastyczne I techniczne. I obowiązkowe dwa lata pracy, a potem zaoczne studia na pedagogice UW, które ukończył w 1967 roku.

I zwyczajna praca. Jednak w ubiegłym roku „zaciągnął" go profesor na seminarium doktoranckie. Ma zatwierdzony temat i koncepcję pracy.

Mówi:

— Czy dam radę? Szkoła dużo czasu pochłania. Robota żmudna, wymaga zbierania materiału w Polsce... A jest jeszcze wiele obowiązków społecznych...

*

Stanisława Nowackiego wybrano delegatem na XI Krajowy Kongres ZNP. Czuje się zaszczycony. Mówi, że na tym kongresie trzeba poruszyć wiele palących, wymagających rychłego rozwiązania spraw.

— Weźmy choćby taką sprawę — wyjaśnia — jak obecny, w myśl nowej Karty Nauczyciela — wymiar godzin: 26, plus 2 godziny zastępstw. Czy tu nie stwarza się sytuacji paradoksalnych? Jest bowiem chory polonista, np. w VII klasie i trzeba go zastąpić. Drugi polonista już wykorzystał te swoje 2 godziny zastępstw w tygodniu. Wobec tego należy wziąć innego nauczyciela. Fizyka, matematyka, który, szczerze mówiąc, lekcję „skopie".

Kiedyś byli etatowi zastępcy (przyp. — R. B.), którzy potrafili nieźle spełnić powierzone im zadania, obecnie te etaty zostały zlikwidowane.

Tyle Nowacki, kierownik „wojujący", często narażający się zwierzchnikom. Ale dlaczego? Czy on nie ma racji, czy nie przedstawia słusznych myśli i postulatów, broniących nauczyciela wiejskiego?

O Nowackim, jego sukcesach i niepowodzeniach napiszę potem. W tym miejscu chciałbym odpowiedzieć na postawione wyżej pytanie. Potwierdziły to rozmowy, jakie przeprowadziłem z innymi nauczycielami.

*

Wszyscy przyjęli Kartę Praw i Obowiązków Nauczyciela za sukces (od lat był to żywy, palący problem), powtarzały się na ten temat głosy na konferencjach ognisk ZNP. Zyskano wiele. Czy wszystko? W sprawie finansowej dużo, ale pozostały inne problemy.

Mówili moi rozmówcy:

— Czy dzieci muszą należeć do wszystkich organizacji w szkole? I czy do każdej w 100 proc.?

— Nauczyciel nie może pisać do dziennika rozkładów materiału. Tylko do brulionu. Ale już razem cele dydaktyczne i wychowawcze. Kiedy zachoruje, zastępca nie zorientuje się, co należy „przerabiać", gdyż brulion u chorego...

— Dlaczego tak się dotąd dzieje, że w szkołach zatrudnionych jest po kilka osób z jednej specjalności, a z innych brak?

— Mamy promować wszystkie dzieci w klasach I—IV. Oczywiście, poprzez podniesienie poziomu nauczania. Ale to z kolei można uzyskać przy zmniejszonej ilości dzieci w klasie, wtedy więcej czasu można poświęcić najsłabszym. W szkołach specjalnych brakuje miejsc, wychodzi więc na to, że w normalnej uczeń słaby i opóźniony może ją szybciej ukończyć, niż uczeń średnio zdolny.

— Nauczyciel uczy o górach, starych zamkach i morzu, których nigdy nie widział. Trzeba organizować więcej wycieczek i na dogodnych warunkach.

— Nauczyciel wiejski najczęściej korzysta z PKS, ale zniżkę ma tylko na PKP...

Te i inne problemy nękają jeszcze nauczycieli, nie omijają też szkoły w Lutomiersku. Będzie o nich mówił na Krajowym Zjeździe Stanisław Nowacki.

Ma też osiągnięcia. Zawdzięcza je nie tylko sobie, ale i dobrej kadrze, z której kilku nauczycieli ma wysokie wyróżnienia. 90 proc. uczniów klas ósmych podejmuje dalszą naukę. I to cieszy.

W szkole panuje prawdziwie rodzinna atmosfera. Wiele zrobił Nowacki dla udoskonalenia pracy. Zmienił wszystkie stare meble, zadbał o wyposażenie pracowni; jest świetlica, kółko taneczne, chór, kółko fotograficzne, wyposażone m. in. w kamerę filmową. Działa też filia ogniska muzycznego.

Nowacki chciałby więcej. Uczniów jest 350, wielu dochodzi z odległości 5 km, cztery klasy uczą się po południu. Potrzebne jest podpiwniczenie, większa szatnia, świetlica z posiłkami i sala gimnastyczna. Być może, według koncepcji szkoły gminnej, przystąpi się do rozbudowy. I może zostanie wreszcie rozwiązany problem mieszkań dla nauczycieli. Bo zbudowano wprawdzie Dom Nauczyciela, ale w zasadzie został on wykorzystany jako budynek administracyjny. Jest c. o., kotłownia, lecz w szkole pękają od żaru piece kaflowe, a temperatura i tak nie przekracza zimą 12 st. C. Ten dom stoi tuż przy szkole... Ma nawet łazienki, ubikacje, tylko, że „suche"... Rury kanalizacyjne zabite korkami, wodę bierze się ze studzienki przed domem...

Jednak wiele może się zmienić. Nie sprawdzali się dawni przewodniczący GRN, ostania zmarła w ub. roku. W tamtym czasie trzeba było staczać boje, by wydębić pieniądze na kupno węgla, kredy i atramentu. A kierownik masę czasu musiał poświęcać na robotę administracyjną.

Przybył nowy sekretarz GRN. Człowiek z głową, przychylny szkole. Docenia jej pracę. Kulturalną zwłaszcza, organizowane imprezy rocznicowe dla środowiska. I społeczną robotę. Przecież młodzież sadziła drzewa i krzewy, budowała kąpielisko.

W dziedzinie kulturalnej szkoła gra główną rolę. Bo w zasadzie życia kulturalnego nie ma w Lutomiersku. Ładna restauracja „Bogdanka" go nie tworzy. Męty wszelkiego autoramentu, bełkotliwa śpiewka i mordobicie... Tuż przy drodze do szkoły.

Myślę jednak, że młodzi, wychowani przez taką szkołę, będą zmieniać obraz życia w Lutomiersku. Szkoła zadeklarowała ostatnio udział w zakładaniu dużego skweru. Zniknie ten ponury, kamienisty plac, gdzie co środę „święto dyszla", czyli targ się odbywał. Tramwaj będzie zajeżdżał, jak dawniej, ale kwiaty i zieleń nikogo nie odstraszą...

FILM W SZKOLE

EWA NURCZYŃSKA

FIKCJA CZY RZECZYWISTOŚĆ?

„Wstępując w prawdziwie humanistyczny okres historii, musimy jasno zdawać sobie sprawę, iż jego losy zależą w wielkiej mierze od wychowania ludzi i że jednym z trzech zasadniczych czynników tego wychowania jest — obok nauki i techniki oraz działalności społecznej — właśnie sztuka".

Tę opinię **Bohdana Suchodolskiego**, jednego z najwybitniejszych współczesnych pedagogów warto mieć na uwadze wówczas, gdy chce się pojęcie nowoczesność w szkole wypełnić treściami konkretnymi. Nawet tylko orientacyjna świadomość wieloaspektowości tejże nowoczesności uświadamia ogrom zadań przed szkołą współczesną stojących. Od organizacji systemu oświaty i wyposażeń placówek począwszy, poprzez zagadnienie poziomu kadry pedagogicznej, poprzez same programy nauczania i metody dydaktyczne, nowoczesność dociera nawet, czego też lekceważyć nie wolno, do przemian w samej obyczajowości szkoły.

W wachlarzu tych zagadnień problem wychowania przez sztukę jest jednym z ważnych ogniw. W świecie współczesnym przekroczono bowiem barierę elitarności sztuki na rzecz szerokiego, społecznego procesu jej upowszechniania i dostępności, wzrosło znaczenie jej wpływu zarówno na kształtowanie wiedzy jak i postaw człowieka. Wśród wielu innych społecznych, ekonomicznych i kulturowych czynników, decydujących o podniesieniu rangi sztuki w życiu współczesnego człowieka rolę szczególną przypisuje się dziś środkom masowego przekazu, a w nich filmowi i telewizji. Film i telewizja pełnią również funkcje szczególnie istotne w szeroko rozumianych procesach edukacji społeczeństwa, a ich świadome wykorzystanie staje się jednym z ważkich elementów nowoczesnej dydaktyki.

Jakie wnioski wyciągnęła z tych faktów szkoła?

Film dydaktyczny uznano za niezwykle ważną pomoc w procesach nauczania, film artystyczny w najnowszych, wprowadzonych w ubiegłym roku programach języka polskiego odnotowano jako jeden z elementów lekcyjnych rozważań i analiz. **Praktyka szkolna wskazuje jednak, iż pełna realizacja założeń ogólnych i programowych to jeszcze nie dziś naszej szkoły.**

Zakończony w Łodzi przed dwoma tygodniami Festiwal Filmów Dydaktycznych i towarzyszące mu Sympozjum wykazały, że stan filmu dydaktycznego i sposób jego wykorzystania pozostawia wiele do życzenia. **Ciągle zbyt mała produkcja powoduje ogromne braki tematyczne, aktualne programowanie tematów i ich praktyczna realizacja mija się często z prawdziwymi potrzebami szkoły. Niedostateczna ilość kopii, niedobry i niepełny sprzęt, nieprzystosowanie klas lekcyjnych do projekcji filmowych, nauczyciele nie przygotowani do korzystania ze sprzętu audiowizualnego, ani, co gorsza, nie znający metodyki pracy z pomocami audiowizualnymi — to tylko niektóre problemy, przed którymi stoi praktyka szkolna.** Dodajmy, że w większości przypadków za ten stan rzeczy nie nauczyciela winić nam trzeba, choć o większą, indywidualną inicjatywę i aktywność trzeba tu pytać. Absurdem niczym nie dającym się wytłumaczyć jest fakt, iż produkcja filmów dydaktycznych leży nadal w gestii Ministerstwa Kultury i Sztuki, w momencie, gdy sponsorów należy szukać w resortach oświaty. Kadry pracowników kinematografii są, oczywiście, niezbędne, ale dopóki zainteresowani nie wezmą w swoje ręce sprawy programowania, realizacji, edytorstwa i rozpowszechniania filmów dydaktycznych, dopóki nie ustali się zunifikowanego typu sprzętu audiowizualnego (z widzeniem tak projektorów Super-8 jak i videomagnetofonów), dopóki nie przygotuje się nauczycieli, tych już pracujących i tych do wykonywania zawodu szkolonych — do właściwego korzystania z nowoczesnych pomocy naukowych, dopóty ten element nowoczesności szkoły będzie sprawą ludzi dobrej woli i pobożnym życzeniem władz.

Zaczęliśmy nasze rozważania od problemów wychowania przez sztukę, do niego pragniemy powrócić, bowiem zagadnienie filmu w szkole widzieć trzeba zawsze w tych dwu nurtach — **film jako pomoc dydaktyczna i film jako przedmiot rozważań estetycznych i czynnik wychowania.** Ta nobilitacja filmu to naturalny wynik współczesnych rozważań kulturoznawczych, traktujących książkę i ekran jako dwie formy podawcze kultury literackiej. Toteż nieco aprioryczne przypisanie filmu szkolnej polonistyce znajduje swe kulturowe i estetyczne uzasadnienia.

I znów rodzi się pytanie, jak się ma pewna społeczna świadomość faktu do praktycznej jego konkretyzacji. **Ministerialne programy wprowadziły film na lekcje języka polskiego w skromnym, to prawda, wymiarze, ale nawet dla tych potrzeb nie zagwarantowano nauczycielom pomocy.** Polonista ma prawo powiedzieć — jestem widzem kinowym, cenię tę sztukę, ale jestem polonistą — nikt, nigdy nie uczył mnie historii kina i jego estetyki, nie przygotowywał mnie do analizy dzieła filmowego. **Film nie istnieje bez taśmy, ekranu i projektora, jak mówić o filmie, jeśli go nie ma, gdzie go oglądać?**

Nie ma filmotek tytułów szkole niezbędnych, nie mówiąc już o antologiach, zestawach przezroczy czy fotosów. Nie ma książek, które byłyby swoistym vademecum dla nauczycieli, nie ma podręczników metodycznych, nie ma w szkole pieniędzy na „chodzenie do kina". Wśród wszystkich uniwersytetów i szkół pedagogicznych w całej Polsce wyłącznie studenci polonistyki Uniwersytetu Łódzkiego mają obligatoryjne zajęcia z filmoznawstwa — program polonistyki uniwersyteckiej nie zna programu polonistyki szkolnej.

Rzecz stoi na głowie, a mimo to wielu ludzi, w tym także poloniści, z radością odczytali nowe hasła programowe języka polskiego. I tak jak wcześniej opinia publiczna wymusiła decyzje ministerialne, tak dziś, tzw. inicjatywa oddolna podejmuje środki zaradcze — **ośrodki metodyczne organizują kursy dokształcające, wydają materiały pomocnicze** (np. edycja Katedry Teorii Literatury, Teatru i Filmu UŁ i Okręgowego Ośrodka Metodycznego). Wszystko to znów działania ludzi dobrej woli, utrudnione w innych środowiskach; miarą Łodzi posiadającej kadrę naukową i twórczą nie można mierzyć możliwości innych ośrodków.

I tak, jak w przypadku filmów dydaktycznych pyta się o najbardziej właściwych sponsorów, tak i tu czeka się na szybkie i rozsądne decyzje regulujące i ułatwiające przebieg procesu, który można nazwać przeobrażeniem dotychczasowego modelu humanistyki szkolnej. **Film jest tu bowiem jednym z elementów tego procesu, obok niego stoi teatr, telewizja, radio, plastyka i inne zjawiska kultury współczesnej, dla której** manistyki szkolnej. **Film jest ciągle jeszcze zbyt mało.** Szkolna humanistyka musi wyjść poza zaczarowany krąg nauczania sprawności językowej i wiedzy li tylko o sztuce literackiej. Jest to naturalna konsekwencja przemian, jakim uległa kultura i cała rzeczywistość społeczna, w której znalazł się współczesny człowiek. Szkoła jest instytucją, jak żadna inna, obciążoną tradycją, ale walka o czas we wszystkich dziedzinach naszego życia stała się obecnie głównym wyznacznikiem działania. Trzeba o tym pamiętać i w tym procesie, którego celem jest kształtowanie wiedzy i osobowości tych, którzy w walce o czas staną dopiero jako dorośli.

WSPÓŁCZESNA SZKOŁA

JERZY WILMAŃSKI

WSPÓŁCZESNA CZY PRZYSZŁOŚCIOWA?

Modne było kiedyś zawołanie: „uczmy się na błędach", co lud polski błyskawicznie zripostował potocznym powiedzonkiem — „nie uczcie się na błędach, uczcie się na uniwersytetach". Do tego powiedzonka jak ulał pasuje polska szkoła, która od dobrych dwudziestu lat uczy się na błędach. Pisząc „polska szkoła" nie mam na myśli ani nauczycieli, ani uczniów — myślę po prostu o zespole zjawisk zwanych szkolnictwem.

Szkolnictwo mamy niezbyt nowoczesne, ale na pewno żywe. Wciąż zmieniają się programy, podręczniki, eksperymenty, systemy... Istny kalejdoskop. Wartością mniej więcej niezmienną pozostaje nauczyciel, który z czasem dostaje oczopląsu od tych zmian. Wartością niezmienną pozostaje też w dalszym ciągu przekonanie, że w szkolnictwie nie dzieje się najlepiej.

Niedawno prof. Dyzma Gałaj powiedział w telewizji, że szkoła powinna kształcić i wychowywać. Założenie tyle stare, co mało realne. Ilość tzw. bitów informacji, które we współczesnym świecie można uznać za podstawowe — ciągle rośnie. Przekazanie uczniom choćby tej cząstki współczesnej wiedzy staje się problemem. Niemała jest także ilość uczniów — klasy 30-osobowe są zjawiskiem powszechnym, wychowanie w tej sytuacji jest, delikatnie mówiąc, utrudnione. Zresztą kształcenie także.

Zostańmy jednak przy wychowaniu. Oto typowy obrazek przekazany mi przez rodziców dzieci, uczęszczających do liceum. Wybory samorządu klasowego — nauka demokracji, głosowanie (oczywiście tajne)... Klasa wybiera Franka, chłopca nieco kontrowersyjnego, ale dobrego ucznia. Wychowawca ucina całą sprawę oświadczeniem: „Uważam, że przewodniczącą samorządu powinna być Basia, jest najlepszą uczennicą, kto przeciw?" Oczywiście „nikt — przeciw". Dzieci otrzymały lekcję demokracji. W dorosłym życiu, jak znalazł.

Niełatwa jest także sprawa kształcenia nauczycieli. Za mojej już pamięci były wyższe szkoły pedagogiczne, i licea pedagogiczne. Potem zlikwidowano WSP, kierując do szkolnictwa absolwentów uniwersytetów, którzy przygotowania pedagogicznego nie mieli. Potem zlikwidowano licea, a powstały studia nauczycielskie, które też z czasem zlikwidowano. Obecnie jesteśmy w punkcie wyjścia — są znów wyższe szkoły pedagogiczne.

W efekcie kadra nauczycielska jest mocno zróżnicowana zarówno pod względem wiedzy, jak i postawy wobec moralnych problemów zawodu. Za przykład (smutny wielce) niech posłużą ostatnie badania socjologiczne Mieczysława Nijakowskiego. Badał on dużą grupę nauczycieli i kandydatów do tego zawodu. W ankiecie znalazło się pytanie: „czy sprawiedliwość wymaga, aby przyznać rację uczniowi, który słusznie krytykuje nauczyciela". Prawie osiemdziesiąt procent badanych odparło, że: uwaga, uwaga — sprawiedliwość tego nie wymaga.

Uczeń wychowywany w oparciu o takie modele sprawiedliwości, będzie sobie tworzył bez oporów własne, egoistyczne kryteria moralne. Tę smutną konstatację chcę jednak okrasić osobistym wspomnieniem. Oto w Liceum Ogólnokształcącym w Łowiczu, przed wielu, wielu laty starłem się w jakiejś sprawie z polonistą, prof. Zabostem. Profesor twierdził jedno — ja drugie. Na następnej lekcji w obecności całej klasy prof. Zabost powiedział: „wracając do poprzedniej lekcji, to ty miałeś rację — sprawdziłem to w domu". Autorytet nauczyciela nie tylko się nie zachwiał, wręcz przeciwnie — wzmocnił się jeszcze. Nie pamiętam już dziś, o jaki to drobiazg z historii literatury chodziło, pamiętam, że mój nauczyciel potraktował mnie poważnie. A właśnie to poważne traktowanie jest niezwykle istotnym elementem wychowania.

Nikomu jeszcze nie ubyło autorytetu, gdy się przyzna, że czegoś nie wie. W dzisiejszym świecie nie można wiedzieć wszystkiego, o co dziecięca ciekawość i pomysłowość może zapytać. A jakże są powszechne owe banialuki na pytania dzieci, zmyślane w naiwnym przekonaniu, że oto kres autorytetu, bo nie wiem, jak się zwało plemię zawojowane przez Rzymian na terenach dzisiejszej Rumunii.

Twórca teorii względności, Albert Einstein, notabene bardzo mierny uczeń — powiedział ponoć: „nie pamiętam faktów, wzorów, dat — wystarczy, że wiem, gdzie znaleźć na ten temat informację". Współczesny człowiek, także nauczyciel, nie musi (i nie może) nosić w głowie całej biblioteki. Wystarczy, że dysponuje określonym aparatem poznawczym, że wie, w stronę której półki bibliotecznej wyciągnąć rękę, gdy mu potrzeba odpowiedniej informacji. Dysponując umiejętnością korzystania z wiedzy utrwalonej na piśmie — posiada się klucz do wiedzy. Nauczyciel powinien być owym człowiekiem z kluczem: nauczyć przede wszystkim otwierania zamków nauki. Mnogości szczegółów niech się już na własną rękę kują amatorzy „Wielkiej gry".

Wiem oczywiście, że to wszystko teoria, widziana zresztą oczyma dyletanta. Współczesna szkoła uwikłana jest w tyle różnorodnych kłopotów i uwarunkowań, że właściwie trudno się dziwić, że jest taka, jaka jest. Mamy piękne „tysiąclatki" z klasami — pracowniami i mamy XIX-wieczne szkółki z tzw. klasami łączonymi. Mamy nauczycieli z wykształceniem i pasją pedagogiczną (o jednym z nich piszemy w tym numerze) i mamy nieszczęśliwe paniusie, które przyszły do zawodu, bo akurat nic innego się nie trafiało. Minione lata długo jeszcze będą się wlokły, za polskim szkolnictwem. Na 42 tysiące polskich wsi mamy dziś zaledwie kilkanaście tzw. szkół zbiorczych i masę „jednoklasówek". Ile trzeba czasu, aby to wszystko — kadry, programy, podręczniki, szkoły — sprowadzić jakoś do przyzwoitej normy krajowej?

Współczesna szkoła, o której ostatnio tak wiele się pisze, to nie jest, niestety, szkoła dzisiejsza. Jeśli obecna reforma i modernizacja szkolnictwa nie jest jeszcze jedną przymiarką i prowizorką — to efekty zobaczymy dopiero za parę lat. Dlatego hasło „współczesna szkoła" brzmi dla mnie, jak hasło „szkoła przyszłości". Ale przecież do przyszłości trzeba wreszcie kiedyś wystartować.

SPORT W SZKOLE

Na razie mamy plan

Z łódzkim sportem szkolnym nie jest najlepiej. Odległe miejsca w poprzednich igrzyskach szkolnych, tłumaczone na ogół względami „sportowymi", a to nasi musieli walczyć na wyjeździe, przetrzebiły najlepszych zawodników kontuzje, pogoda nie dopisała, sędziowie faworyzowali gospodarzy.

Jeszcze na kilka dni przed tegorocznymi igrzyskami w Łodzi panował ogólny optymizm. Osoby odpowiedzialne za przygotowanie reprezentacji szkolnej zapewniały, że wszystko jest w porządku, że mamy zapewnione miejsce w ścisłej czołówce, ba, zakładano się nawet o to, kto kogo będzie niósł na barana, jeżeli w ogólnej klasyfikacji igrzysk Łódź zajmie wysokie miejsce.

Nie wiem, czy po przegranych w końcu igrzyskach, ktoś kogoś niósł na barana. Łódź zajęła — przypominam — jedenaste miejsce i nawet województwo łódzkie wyprzedziło swoją metropolię. Igrzyska były jednak najlepszym dowodem słabości sportu łódzkiego, nie tylko szkolnego. Bez dobrego zaplecza nie można stworzyć silnego sportu wyczynowego — stąd słabe wyniki piłkarzy, lekkoatletów, koszykarzy, pływaków.

Igrzyskowa porażka była bodźcem do dokonania zmian w sporcie szkolnym. Jednym z przejawów tych zmian, chyba najważniejszym, jest projekt utworzenia klas sportowych w niektórych szkołach, projekt wprowadzany już zresztą w życie.

Właśnie teraz, w pierwszych dniach października, trwają badania sprawnościowe młodzieży klas V—VI. Dla najsprawniejszych z blisko 20 tys. uczniów stworzy się około 50 klas ze specjalizacją sportową w kilkunastu szkołach miasta. Ale testy sprawnościowe i zgromadzenie najlepszych w jednej szkole, czy klasie, to jedna część planu. Druga — to kadra nauczycielska. Potrzeby są niebagatelne — 4—6 nauczycieli w każdej z czternastu dyscyplin objętych programem, a więc w sumie 70 nauczycieli specjalistów z najwyższymi kwalifikacjami (na około 400 pracujących w Łodzi). Znaczna część kadry nauczycielskiej (ta najlepsza) poświęci się więc pracy z młodzieżą najzdolniejszą.

I tu wyłania się problem pierwszy — czy przypadkiem klasy sportowe nie będą działać kosztem wychowania fizycznego i polepszania sprawności fizycznej tej całkiem przeciętnej młodzieży lub nawet tej z najsłabszymi warunkami fizycznymi, której (wydawałoby się) należy poświęcać najwięcej czasu i wysiłku. Trzeba więc rozstrzygnąć: czy wąska grupa wyczynowców, czy ogólnie dobra sprawność fizyczna całej młodzieży?

Należy również pamiętać, że w klasach sportowych musi istnieć stała selekcja, a co za tym idzie i rotacja uczniów-kandydatów na mistrzów. A skąd brać konkurentów, jeżeli ci najlepsi, zgromadzeni w klasach sportowych, mają do dyspozycji o wiele lepsze warunki, niż inni uczniowie tej samej nawet szkoły? (

Nie ma specjalnych kłopotów z zapewnieniem kadry trenerskiej dla dyscyplin prowadzonych przez Szkolny Związek Sportowy. Trenerzy pracujący obecnie w szkołach podstawowych i Młodzieżowych Klubach Sportowych obsadzą: koszykówkę, siatkówkę, piłkę ręczną i nożną, a także pływanie.

Gorzej jest natomiast z takimi „medalodajnymi" dyscyplinami, jak lekka atletyka, gimnastyka, szermierka, zapasy. Trenerów specjalizujących się w tych gałęziach sportu nie ma zbyt wielu.

Drugim, o wiele poważniejszym problemem, są sale przyszkolne. Teoretycznie wszystkie szkoły w Łodzi mają sale gimnastyczne, ale przecież nie można nazwać obiektem sportowym pomieszczenia o wymiarach mniejszych niż 18x9 m, a takich sal jest we wszystkich łódzkich szkołach 56. Natomiast takimi, które można traktować jako „reprezentacyjne" obiekty szkolne i zarezerwować je dla rozgrywek międzyszkolnych dysponują tylko: szkoła podstawowa nr 150 III LO, widzewskie technikum im. T. Borowiak i Technikum Gastronomiczne.

Podobnie przedstawia się sprawa z boiskami przyszkolnymi. Wprawdzie w latach 1966—1970 wybudowano 45 boisk o nawierzchni bitumicznej (bardzo przydatnych boisk asfaltowych, na których w zimie można urządzać lodowiska), ale potrzeby są nadal olbrzymie. W najbliższym czasie trzeba urządzić osiemnaście takich obiektów. Trzeba również wziąć pod uwagę fakt, że ze 174 istniejących boisk przyszkolnych, 50 proc. wymaga albo dodatkowego wyposażenia, albo remontu i to dość wszechstronnego. Natomiast w 53 szkołach nie ma boisk w ogóle.

W bieżącym roku szkolnym ma się rozpocząć specjalizacja sportowa w klasach V—VI. W następnych latach ilość tych klas będzie się powiększać, za trzy lata wybijający się uczniowie tych klas przejdą do szkół średnich. I już dziś trzeba myśleć o stworzeniu odpowiednich do tego warunków w tych szkołach. Improwizacja w tym wypadku nie jest wskazana.

Plany są. Jeżeli wszystkie warunki potrzebne do ich realizacji zostaną spełnione, efekty powinny być wkrótce widoczne. A jeżeli się nie uda? No, cóż, niektórzy działacze sportowi w Łodzi będą tłumaczyć, że nie może być w naszym mieście dobrego sportu, bo jest mały przyrost naturalny, najwyższa w kraju gęstość zaludnienia i duże zanieczyszczenia atmosfery.

WOJCIECH FILIPIAK

PRZEZ kuchenne drzwi

Dalszy ciąg ze str. 7

na lektury uzupełniające program przewiduje 8 godzin lekcyjnych w roku. Wiedzą o tym także pedagodzy i trzeba przyznać, że szkoła robi sporo, aby zachęcić uczniów do samodzielnego poznawania współczesnej literatury, do penetracji ruchu wydawniczego. Od dwóch lat organizowane są Olimpiady Literatury i Języka Polskiego, które stawiają sobie za cel zorientowanie ich uczestników w problematyce bieżącego życia literackiego i kulturalnego, zachęcają też do samodzielnej interpretacji wybranych pozycji literackich. I tu zresztą obowiązują dwie listy lektur. Zestaw obligatoryjny złożony z trzech kompletów propozycji stawia na utwory klasyków, choć i tu uwzględniono pozycje współczesne. Ale prawdziwe bogactwo przedstawia sobą ogromna, bo licząca 68 tytułów, lista lektur uzupełniających. Tutaj organizatorzy Olimpiady wykazali godną pochwały odwagę. Spośród nowości wydawniczych ostatnich sezonów znajdziemy przecież w tym zestawie „Pamiętnik z powstania warszawskiego" Mirona Białoszewskiego, wybory wierszy Stanisława Grochowiaka i Zbigniewa Herberta, „Sennik współczesny" Tadeusza Konwickiego, „Strefy" Andrzeja Kuśniewicza. Śmielej też uwzględniono propozycje najmłodszej polskiej literatury reprezentowanej tu przez „Pałac" Wiesława Myśliwskiego, czy „Całą jaskrawość" Edwarda Stachury. Ale już prawdziwy przełom oznacza uwzględnienie pozycji literatury awangardowej przynajmniej, jeśli chodzi o polską prozę i dramat. Na liście tej znajdujemy przecież „Sklepy cynamonowe" Bruno Szulca, dramaty St. I. Witkiewicza.

Chciałoby się, aby przynajmniej te ostatnie pozycje weszły na stałe do programów szkolnych, gdyż wytypowanie ich jako konkurencji olimpijskiej nie zastąpi procesu aktualizowania wymagań szkolnych z wymogami współczesnej kultury. Mimo, że Olimpiada, przynajmniej w łódzkich liceach ma zasięg szeroki i w zasadzie uczestniczą w niej wszystkie szkoły. Nic też dziwnego, że **Olimpiady te przyniosły szkolnictwu łódzkiemu zasłużony sukces.** Na pierwszej Olimpiadzie, którą rozegrano w roku ubiegłym, uczennica IX LO Elżbieta Jędraszczyk zajęła drugie miejsce, rok bieżący zapisał się jeszcze lepszym rezultatem: oto uczeń XV LO Kazimierz Maj z klasy prof. Barbary Rheimschüssel zajął pierwsze miejsce. Trzydziestu „olimpijczyków" z łódzkich szkół wyjechało w nagrodę za rezultaty osiągnięte w tym ogólnopolskim turnieju do ZSRR i odwiedziło Kijów, Baku oraz Moskwę.

Trzeba dla uzupełnienia obrazu przypomnieć organizowane już od wielu lat konkursy recytatorskie, które w znacznym stopniu przyczyniają się do popularyzacji poezji współczesnej. Ten zespół wysiłków służących upowszechnianiu współczesnej kultury jest świadectwem tego, że szkolnictwo pozbyło się dawnej ociężałości i szuka różnych sposobów, aby dotrzymać obietnicy złożonej w programie nauczania języka polskiego. Są to na pewno półśrodki, ale wolno chyba przypuszczać, że pozycje literackie wprowadzane niejako kuchennymi drzwiami i wypróbowane w zmaganiach sportowych, utorują sobie z czasem drogę do szkół na stałe i staną się przedmiotem systematycznego nauczania.

KONRAD FREJDLICH

KSIĄŻKA

Pogranicze NA MOMENT

Jednym z najbardziej widocznych i płodnych kompleksów naszej literatury jest przeszłość, pojęta jako szczególnie intensywne doświadczenie historyczne zarówno zbiorowości, jak i jednostki. Podobne stwierdzenie należy do sądów oczywistych, gdyż potwierdza je niemal każdy sezon prozy. Nietrudno jednak zauważyć, że między powszednią beletrystyką, w istocie swej sprawozdawczą a dokonaniami wybitnymi, rewaloryzującymi zasadnicze pojęcia historii — odnotować trzeba dość dotkliwy dystans.

Wydaje się, że dopóki będzie funkcjonował stereotyp „współczesności", wedle którego pojęcie to jest konstrukcją czysto kalendarzową, jakby kwestią regulacji zegarka, a nie nowym s t o s u n k i e m do tradycji, dopóty z ustaleniem ambicji prozy zafascynowanej przeszłością będziemy mieli nadal kłopoty.

Pozostaną dwie orientacje wobec historii. Z jednej strony swoisty sentymentalizm historyczny, w którego koleinach emocjonalnych i moralnych zetkniemy się z próbami szantażu samym tematem oraz licznymi pułapkami stereotypów wewnętrznych. W ich duchu sama sytuacja bohaterów doświadczanych w okresie wojny — będzie musiała mieć rację. Argumenty ofiar, jakkolwiek by były w sensie literackim wyłożone, nie przestaną zmuszać czytelnika do pełnej aprobaty utworów, których narratorami pozostały właśnie wspomniane ofiary. Dojdzie do tego, że starając się o skuteczne alibi psychologiczne — utwory te korzystające z podstępnych dobrodziejstw sentymentalizmu historycznego znajdą się poza zasięgiem wszelkiej oceny jako decyzje, pod względem etycznym, słuszne.

Drugą, ciekawszą orientację stanowić będą propozycje, znajdujące się w opozycji do wspomnianego sentymentalizmu. Ich ambicją będzie nadal przynoszenie syntezy doświadczeń wewnętrznych, spowodowanych czasem wielkiej historycznej próby. Od wyboru którejś z wymienionych wyżej orientacji zależy ranga piśmiennictwa obróconego w stronę czasu przeszłego teraźniejszego.

W jakim miejscu znajduje się więc nowa powieść Konrada Frejdlicha pt. „Kres"? Wydaje mi się, że autor umieścił ją na pograniczu wspomnianych tendencji. Najpierw jest to bowiem rzecz wykorzystująca do maksimum wszystkie dostępne racje wynikające z samego tematu. Frejdlich powierzył narrację osobie, której współczujemy. Racje bohaterki znalazły się poza zasięgiem wszelkich wątpliwości. Jest to bowiem dziewczyna oczekująca w berlińskim więzieniu na wykonanie wyroku śmierci. Podkreślanie, że jest niewinna byłoby zabiegiem banalnym. Autor przekonuje nas o tym od początku. Takie jest po prostu moralne założenie powieści. Toteż mamy tu do czynienia z bezwzględnością systemu, który niszczy elementarne, humanistyczne wartości. Pojawiają się one w „Kresie" dzięki zręcznie wprowadzanym partiom retrospektywnym, przekonującym nas o tym, że raz uruchomiona machina faszyzmu może jedynie prowadzić do zbrodni. Zbrodnia ta wydaje się tym wieksza i tym bardziej absurdalna, im lepiej poznajemy bohaterkę.

Oczywiście w ramach tak pomyślanej sytuacji autor próbował zadbać o uogólnienia. I w tym miejscu zetkniemy się z powtórką dorobku myślowego, który jest już doskonale znany, by nie powiedzieć oczywisty. Dowiadujemy się przeto, że „w dzisiejszych czasach jednostkowa śmierć jest właściwie bez znaczenia", że dawnym poetom nie starczyłoby wyobraźni, aby sprostać rzeczywistości okupacyjnej, która stała się powszechnym udziałem, wreszcie, że łatwiej zabić człowieka niż to, „co w nim jest człowiekiem".

Podobna retoryka stała się już, zważywszy ilość piśmiennictwa na temat przeszłości, wspólną własnością. Zaledwie punktem wyjścia, elementarzem wiedzy dotyczącej okupacji. Toteż nie w tym zakresie odnotować należy wartości powieści Frejdlicha. Tu bowiem autor znajduje się na gruncie wypróbowanym przez poprzedników.

To, co w książce najcenniejsze nie należy wcale do umiejętności przemyślenia, lecz o d c z u c i a sytuacji bohaterki. Dzięki zwięzłości konstrukcyjnej, taktowi stylistycznemu Frejdlich osiąga efekt rzeczywistej więzi emocjonalnej między prezentowaną sytuacją a czytelnikiem. Zmusza tego ostatniego do protestu, do przejęcia się losem człowieka skazanego. Można więc powiedzieć, że o walorach książki decydują racje serca, mimo że powieść nie jest sentymentalna.

Autor umiał sobie wyobrazić taką sytuację ludzką, która w istocie swej jest nie ludzka. Ujawnił pewien rodzaj tragizmu, który wygląda w tym wydaniu na kategorię typowo dwudziestowieczną. Przed bohaterką nie ma bowiem żadnego wyboru w zakresie działania. Jeśli wybór jest w ogóle możliwy, dotyczy sfery rygorów wewnętrznych. W tym przypadku stanowi on przykład walki o zachowanie godności. To przecież jedyna rzecz, na jaką bohaterka ma jeszcze wpływ. Poza nią jest przypisana śmierci. Jej mechanizm funkcjonuje niezwykle sprawnie. Nie ma żadnej nadziei na ocalenie.

„Kres" stanowi próbę zbadania dramatu ludzi, którzy w czasie, w jakim poddawani zostali najwyższej próbie, byli mniej więcej rówieśnikami autora. To nie dopowiedziane porównanie z ich losem, próba moralnej solidarności — to jeden z oryginalnych akcentów powieści. Przeprowadzony został precyzyjnie, przy pomocy jasnego, przejrzystego układu narracyjnego, co jest zarówno komplementem, jak i konstatacją przerażającą, gdy okazuje się, że bezprzykładne okrucieństwo zadomowiło się w literaturze i posiadło tak klarowne i układne ramy jabularnego wykładu. Uwaga ta dotyczy jednak całej tendencji naszej literatury, która protestując przeciw zbrodniom, równocześnie wypracowała dla ich ukazania regularne konwencje, a więc jakby się oswoiła z ponurym przedmiotem swego opisu. Mimo to godzimy się na ten system artystycznych zabiegów, jeśli autorzy, jak Konrad Frejdlich, umieją nas przekonywać o konieczności nieustającego powrotu w przeszłość.

Tym bardziej przykre jest nieporozumienie, wynikające z kojarzenia wysiłku autora ze „zwykłym wybiegiem". Na okładce powieści zacytowana została dość pochopna opinia Władysława Szewdowicza o następującej treści: „Postawę duchową i kompleksy generacji Frejdlicha ukształtowały w rzeczywistości lata pięćdziesiąte. I jeśli pokolenie chce koniecznie być tragiczne, tam właśnie musi tragizmu szukać. Okupacja i związane z nią kompleksy są zwykłym wybiegiem, próbą przerzucenia odpowiedzialności, sfałszowanym rachunkiem sumienia..."

Zadziwiająca jest doprawdy pewność siebie i pochopność wniosków zacytowanego recenzenta w kontekście nowej książki Frejdlicha. Jeszcze bardziej zdumiewające są zamiary redaktora książki, który powołuje się na zdanie polemizujące z jej sensem. Oto mamy w stanie czystym: z jednej strony wysiłek pisarza, z drugiej doktrynę recenzenta. Szkoda tylko, że tę jawną sprzeczność przypomina się trochę lekkomyślnie, niejako na rachunek nowej powieści Konrada Frejdlicha, która w swych usiłowaniach znalazła się na pograniczu żywych tendencji, kształtujących w naszej literaturze stosunek do przyszłości. Podobne pogranicze osiąga się zwykle na moment. Następna książka zapewne wyjaśni kierunek pisarskiej podróży autora „Kresu".

Konrad Frejdlich: „Kres", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1972 r., s. 201.

KRZYSZTOF NOWICKI

FILM

Jacy są młodzi?

Kraków, czerwiec — może ubiegłego roku, pięcioro młodych ludzi zdało maturę, przygotowuje się na studia, przeżywają pierwsze dni swojej oficjalnej dorosłości — oto miejsce, czas i bohaterowie filmu Tadeusza Różewicza „SZKLANA KULA".

Kraków w czerwcu jest szczególnie piękny, toteż przyznać trzeba, iż w zdjęciach Krzysztofa Winiewicza jawi nam się w swej całej krasie. A nie jest to wcale mało, bo dawno już zwrócono uwagę na fakt, iż polskie miasta nie mają w polskich filmach należytego dla siebie miejsca. Dzięki kinu znamy uroki wszystkich najpiękniejszych miast świata, bliskie są nam nigdy naprawdę nie widziane ulice Paryża, mosty Amsterdamu, czy bulwary Leningradu. Piękna Warszawy, czy Krakowa nie zwykliśmy innym w kinie pokazywać. Bohaterowie nasi żyją najczęściej w miastach, dla cudzoziemców, anonimowych — może czasem mignięcie Pałacu Kultury, który zrósł się już z krajobrazem Warszawy, przypomina, gdzie jesteśmy. W „Szklanej kuli" mamy jednak Kraków prawdziwy — z jego niepowtarzalną atmosferą: urokami architektury — bohaterowie filmu chodzą prawdziwymi krakowskimi ulicami, spotykają się na Wawelu i Rynku, wmieszani są w tłum turystów i mieszkańców Krakowa. I to odkrycie dla kina miasta jest dla mnie, niestety, jeśli nie jedynym, to głównym walorem nowego filmu Tadeusza Różewicza.

Temat młodego człowieka, jego wchodzenie w życie dorosłe był już przed kilku laty przedmiotem uwagi tego reżysera, warto przypomnieć naprawdę dobre, a już zapomniane „Miejsce na ziemi". Bohater tamtego filmu żył w innym środowisku i warunkach niżli młodzież ze „Szklanej kuli", łączy te oba filmy ten sam temat, owo poszukiwanie „miejsca na ziemi". Pamiętam jednak, iż w tamtym starym filmie spotykaliśmy się z czymś bardzo prawdziwym, że zbuntowana, gorączkowa młodzieńczość miała swe uzasadnienia i racje, a jej filmowy obraz pozbawiony był grzechów, które obciążają „Szklaną kulę" — film półprawd oraz konwencjonalnych charakterów i sytuacji.

„Szklana kula" jest filmem znamiennym dla zjawiska, które w świecie dorosłych zauważyć możemy już od dłuższego czasu. Po latach bardzo gwałtownych utyskiwań na młodzież zmieniliśmy nagle front i próbujemy ją zrozumieć, biorąc pod uwagę nowe warunki, w których żyje i całą przemianę obyczajów. To, co uważało się za wyraz wewnętrznej pustki młodych ludzi, dziś traktuje się jako maskę, grę pozorów, udawadnia, iż ich życie wewnętrzne wcale nie jest mniej bogate, aniżeli pokolenia poprzedniego. Poszukuje się odpowiedzi na pytanie o konflikt pokoleń, jedni istnienie tego problemu negują, inni, dostrzegając — szukają usp.awiedliwiających przyczyn.

Scenarzysta, Kornel Filipowicz i reżyser „Szklanej kuli" zrobili film, w którym jak na dłoni widać wszystkie niebezpieczeństwa owej wspomnianej zmiany frontu. W rezultacie powstał film, w którym portrety młodych ludzi są tak samo nieprawdziwe jak i wtedy, gdy malowano je w czarnych kolorach. Nie znaczy to, iż w „Szklanej kuli" mamy same pozytywne wzory młodzieńczych postaw. Wręcz przeciwnie, autorzy filmu chcieli je bogato zróżnicować, przeciwstawiając na prz kład osobowości młodego technokraty — osobowość chłopca, wrażliwego na duchowe sprawy tego świata. Nie udało się im jednak nic autentycznego z tego wszystkiego wykrzesać, a to chyba z tego powodu, iż znów powsadzano młodych ludzi w różne szufladki, według zasady: jak to dorośli wyobrażają sobie młodych ludzi. Z wydumanych przy biurku konfliktów, charakterów i reakcji, z wyobrażeń, ba, z naprawdę serdecznych, co się czuje, prób zrozumienia i zbliżenia — nic nie wynikało, nie pokonano bowiem bariery pozoru prawd, kazano wierzyć w zewnętrzne manifestacje słów i zachowań. Postać „króla życia", włóczęgi fascynującego młodych bohaterów, miała być czynnikiem wywołującym i ujawniającym młodzieńcze niepokoje i poszukiwania. Taki był pomysł literacki całej tej historii, pomysł w sztuce takiej, jak film, jednakże nie wystarcza.

Jest w „Szklanej kuli" jednak rzecz szczególnie irytująca, jest to film kokietujący młodzież — patrzcie, jacy jesteście „fajni", patrzcie, jaki brzydki jest ten świat dorosłych. Młodzi wchodzą w życie, są wrażliwi, pełni marzeń i niepokojów — przeciwko nim stają dorośli, ograniczeni, głupi, mieszczańscy. Dla młodych nie ma w świecie dorosłych żadnych wzorów. Świat dorosłych jest mały i podły, jedyne wartości są w młodych — oby ich nie zaprzepaścili — zdają się mówić autorzy filmu. Gdyby to było widzenie samych bohaterów „Szklanej kuli", gdyby film był próbą spojrzenia na świat wyłącznie oczyma młodych. Ale nie, to, co nam się mówi o świecie dorosłych, jest opinią twórców filmu i jest to następna półprawda „Szklanej kuli", potwierdzająca i utwierdzająca obiegowe wśród młodzieży poglądy. Jej wychowawczy aspekt jest nader wątpliwy, podejrzewam jednak, że opinie młodych widzów o „Szklanej kuli" będą surowe. Młodzi nie lubią, gdy ich się kokietuje, to jedna z prawd, a może znów półprawd, które o nich znamy.

EWA NURCZYŃSKA

LIST ZE SZCZECINA

Dobry plon Festiwalu

Co dwa lata, zawsze po sezonie, kiedy pięknieje jesień, na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie rozpoczynają się filmowe spotkania ludzi związanych z morzem — związanych zawodem, przypadkiem albo sercem. W tym roku, w dniach 28.IX.—1.X. odbył się już V Ogólnopolski Festiwal Krótkometrażowych Filmów Morskich. Jak zwykle, krzywiono się nieco na małe zainteresowanie ze strony publiczności. Żalono się na zbyt mały napływ filmów amatorskich, a zbyt duży filmów telewizyjnych. A jednak Festiwal nie tylko spełnił swoje doraźne zadanie — poruszył kulturalny Szczecin — ale też ukazał drogę w kierunku dalszego rozwijania i wzbogacania formuły spotkań.

Rzecz bowiem w tym, że Festiwal Filmów Morskich powstał z dobrych ambicji i istotnej potrzeby. Potrzeby wzajemnego kontaktu i wymiany informacji pomiędzy ludźmi pracującymi na morzu i dla morza, a tymi, którzy w zagadnieniach morskich chcą znaleźć swoją szansę twórczego, humanistycznego działania. Dlatego na festiwalu bardzo silnie zaznaczała się obecność nie tylko filmowców i krytyków, ale i pisarzy i dziennikarzy. Dlatego spotykali się tu zarówno fachowcy jak i laicy.

Chociaż oglądanie filmów bywa normalnie zajęciem zasadniczym dla festiwalowych gości — w Szczecinie jest to jedynie odskocznia do bardziej wnikliwego poznawania spraw morza. Filmy są sprawą ważną, ale nie jedyną. Stanowią element konieczny wprawdzie, ale jeden z wielu, składających się na obraz ogólny. W tym tkwi pokaźna część istotnego znaczenia tej złożonej imprezy.

Wiele jest bowiem w Polsce festiwali filmowych różnej rangi. Ale tylko te zyskały sobie trwalsze i szersze znaczenie, które umieją przedostać się do świadomości społecznej, które umieją dać swoim uczestnikom i widzom coś więcej ponad przegląd i hazard konkursu. Festiwal Szczeciński jest festiwalem ważnym i ciekawym, bo znalazł sposób na przeprowadzanie błyskawicznych, skrótowych konfrontacji między rzeczywistością oglądaną w trakcie tworzenia się, w porcie i w stoczni, a rzeczywistością przetworzoną i podaną w mniej lub bardziej wyszukanej formie filmowej. Festiwal ma szansę, dzięki temu na eliminację pustosłowia i pięknoduchostwa, które nie może się obronić przed naporem rzeczowej, konkretnej prawdy.

W części czysto filmowej festiwal miał przebieg całkowicie tradycyjny. Maraton trzech dwugodzinnych przeglądów dziennie przebiegał sprawnie, jeśli nie liczyć kłopotów ze złym na ogół stanem kopii filmów telewizyjnych. Od razu na sali, w czasie przeglądów wyłaniała się zdecydowana czołówka faworytów, a większość oklasków, którymi witano filmy ciekawe powtórzono raz jeszcze przy rozdaniu nagród. Pokazy informacyjne krzepiły świadomością, że sąsiedzi nie są od nas lepsi w tej konkurencji, zaś prezentowany przez Filmotekę Polską zestaw przedwojennych filmów z morzem w tytule świadczył, że mocno trzymamy się tradycji: nadal robimy całkiem dobre filmy dokumentalne, i nadal robimy całkiem koszmarne filmy fabularne. Oczywiście marynistyczne.

Przeglądy filmów stających do konkursu po raz niewiadomo który z rzędu uświadomiły nam także rzecz smutną — a mianowicie fakt, że ciągle zawęża się przesmyk, którym filmy krótkometrażowe przeciskają się do widzów. Obecnie rządzi tym przypadek, a jak obiecuje Ministerstwo Kultury niedługo rządzić tym będzie długość filmu. Szanse dotarcia do widza będzie miał tylko film 15-minutowy. Podobno tylko takie znosimy. Jednak najtrudniejszą drogę do rozpowszechnienia ma, o paradoksie, film telewizyjny. Wyświetla się go w programie TV tylko raz, rzadko kiedy istnieje szansa powtórzenia projekcji; jako że realizowany jest na wąskiej taśmie, nie ma żadnych szans na dotarcie do kin; a że stosuje się w nich magnetyczny zapis dźwięku, drogę do projektorów klubowych i szkolnych mają z reguły odciętą. Tak więc i najciekawszych spomiędzy tegorocznych szczecińskich laureatów nie obejrzy już widz — chyba że niezwykłe szczęście będzie sprzyjało filmowi.

A szkoda, bo są to nadzwyczaj wartościowe i ciekawe filmy. Na przykład — Grand Prix w postaci Złotej Fregaty i 25 tysięcy złotych zdobył dla Andrzeja Androchowicza ze szczecińskiego Ośrodka TV, Krzysztof Baranowski i jego Polonez. Film „Kapitan Poloneza" jest pasjonującym portretem interesującego człowieka, a także budującym przykładem wytrwałości i pogody ducha. Inny film telewizyjny, zrealizowany przez Czesława Durają z Ośrodka Gdańskiego, „Ładunek pokładowy" (zdobywca Srebrnej Fregaty), znacznie skromniejszy i krótszy, umiał pokazać serce i charakter pracowników morza. W tej prostej relacji zawarto wielki ładunek wychowania obywatelskiego, piękną prawdę o dobroci ludzkiej. Kto i kiedy te filmy zobaczy — nie wiem. Trzeba ich z nadzieją w sercu szukać w programie telewizyjnym.

Cechą charakterystyczną tegorocznego Festiwalu Krótkometrażowych Filmów Morskich, stało się oddanie prymatu sprawom ludzi. Dominował w ciekawszych filmach ton osobisty, szukano cech charakteru wyróżniających ludzi morza spomiędzy innych. Ale znaleziono takich samych jak wszędzie: upartych, wytrwałych, pogodnych, czasem trochę śmiesznych. Z osobistą zaciekłością i sympatią sondowano życie bohaterów: Danuty Kobylińskiej-Walas (aż dwa filmy), Bolesława Mikszty, Krzysztofa Baranowskiego, a także tych anonimowych: szkutnika z Pucka, rybaków z Rowów, i tego rybaka z Dźwirzyna, który stwierdził, że morze nie jest żadną wielką sprawą — na morzu trzeba pracować i trzeba je pokonać.

Nie było w tych filmach sentymentalnych, ani protekcjonalnych tonów. Były one równie konkretne i rzeczowe jak ich bohaterowie. To był przegląd znakomitych, wciągających filmów o pracy. Zdarzały się wprawdzie i poetyckie impresje, ale z nich tylko jedna zasługuje na baczniejszą uwagę „Uwolnienie" — filozoficzna i poetycka etiuda o śmierci statku, zrealizowana przez Andrzeja Szczygła z WFO.

I tu pora na wtręt łódzki. Nasza WFO była nawet dość licznie w Szczecinie reprezentowana, tak przez filmy, jak i przez twórców. Ale powiedzieć trzeba z żalem, że filmy łódzkiej wytwórni, choć poziomem technicznym (obróbka barwna) i zdjęć (znakomite zdjęcia Witolda Mickiewicza i Stanisława Mroziuka) przewyższały pozostałe, często mocno niedoskonałe filmy — w porównaniu z konkurentami były oschłe, bez życia, zdawkowe. Szczęśliwymi wyjątkami były dwa filmy Andrzeja Szczygła „Pierwszy kapitański" i wymieniane wcześniej „Uwolnienie". Także i „Semaforowi" się nie poszczęściło, choć wysłał do boju misia Colargola.

Mimo tradycyjnych biadoleń tegoroczny festiwal był sukcesem. Świadczy o tym wzrastająca liczba dobrych filmów, a także poszerzający się krąg ludzi uczestniczących w imprezach festiwalu. A dzieje się tak dlatego że organizatorzy przyjęli jasno sprecyzowaną formułę festiwalu, która przy ściśle określonej tematyce pozwala na dopuszczenie bardzo różnorodnych filmów. Ponadto żelazną zasadą festiwalu jest tworzenie okoliczności, w których twórcy, krytycy i dziennikarze mogą się bezpośrednio zapoznać z tematyką morską, od źródła. Przy takich założeniach, nawet jeśli filmy krótkometrażowe nie dotrą do szerokiej publiczności, przynajmniej część zadań festiwalu może zostać zrealizowana — morze i twórcy poznają się nawzajem. Pożytek dla obu stron nierychliwy może — ale niewątpliwy.

EWA NAGURSKA

Dalszy ciąg ze str. 1

ŻOŁNIERZE

RODION MALINOWSKI

Nieprzyjaciel zachowywał się cicho i zaledwie z rzadka gdzieniegdzie dawał się słyszeć pojedynczy wystrzał. Artyleria z obu stron także nie prowadziła ognia. Cekaemiści siedzieli w okopach i zabijali czas opowiadaniami i wspomnieniami.

Henio (Henryk Szymanowski) wprost oczarował Waniuszę swymi opowiadaniami o gwiazdach, ziemi i słońcu. Jaka ona, okazuje się, ogromna ta nasza planeta i jak daleka od Ziemi — pomyśleć tylko, prawie sto pięćdziesiąt wiorst! A przecież jak praży latem. Pewnego razu Henio zaczął mówić o tym, że Boga nie ma, jego, powiada, wymyślili ludzie bogaci i straszą nim biedaków, aby ci byli pokorni wszelkim bogaczom. Bo inaczej Bóg pokarze i na tamtym świecie obowiązkowo wyśle do piekła, odda w ręce diabłom. Wszystko to było ciekawe. A jednak owe rozmowy sprawiły, że w sercu Waniuszy rodziły się wątpliwości — czyżby Henio mówił prawdę? Opowiada on gładko, lecz sam pajac go wie, czy trafnie! Henio był studentem, lecz nie wiadomo dlaczego poszedł na wojnę jako szeregowy, wszak ojciec jego jest emerytowanym pułkownikiem. Widocznie, w młodym Polaku przemówiła gorąca krew i dusza rogata...

A mimo wszystko, nie bacząc na nic, Waniusza ogromnie pokochał Henia i gotów był pójść za nim choćby w ogień i wodę.

Życie w okopach i opowiadania Henia robiły swoje. Mówiąc otwarcie, wojna obrzydła Waniuszy. W chwilach rzadkiej ciszy, oparty o ścianki okopu długo wytężał myśl nad sensem wojennych zdarzeń. Przypomniał mu się ranny na japońskiej wojnie diadia Pietia, z którym zaprzyjaźnił się w sutyskinowskim szpitalu, przypomniały się jego buntownicze opowieści... Stopniowo wojna przemawiała swoim zastraszającym językiem, okrucieństwem, a nade wszystko niesprawiedliwością. No, właściwie, co Waniusza wyniesie z tej wojny?

Pewnego razu wezwano Waniuszę do sztabu pułku. Tam już zjawiło się około trzydziestu ludzi, wezwanych ze wszystkich kompanii. Padł rozkaz: uszeregować się. Wyniesiono sztandar, wystąpił dowódca pułku Martynow, odczytał rozkaz jego cesarskiej mości o odznaczeniu wyróżnionych w walkach. Adjutant wymieniał nazwiska, a dowódca pułku przypinał do bluz żołnierskich krzyże i medale św. Jerzego.

— Szeregowy załogi cekaemu Iwan Hryńko — odczytał adjutant, odznaczony krzyżem św. Jerzego czwartej klasy i awansowany na starszego strzelca.

Dowódca przypiął do piersi Waniuszy bieluteńki krzyż. Waniusza zdrętwiał z wrażenia. Cały w pąsach ze wstydu i radości, ochrypłym głosem przeskandował w odpowiedzi:

— Najpokorniej dziękuję, wasza ekscelencjo!

Uroczystość odznaczeń skończona. Żołnierze przemaszerowali ceremonialnym marszem przed sztandarem i wnet zwolniono ich do kompanii. Waniusza razem z innymi kaemistami, również odznaczonymi, szedł do plutonu i raz po raz spoglądał na krzyżyk. Serce zasnuwało się nieznanym mu cieplem i Waniusza mimo woli podnosił wyżej głowę.

Pluton spotkał Waniuszę z radością, posypały się gratulacje z okazji pierwszego odznaczenia. Mitrofan Iwanowicz nawet — z rosyjska — trzy razy mocno go ucałował cichutko dodając:

— To ciebie, Waniuszo, przedstawił do odznaczenia ten komendant baterii, której pomogłeś utrzymać się. A u naszego dowódcy jesteś w niełaskach. Tak to, synecczku.

Waniusza już teraz dokładnie obejrzał srebrny krzyż, lecz wciąż jakoś nie mógł dojść do siebie. Noc aż do świtu przeleżał na pachnącym igliwiu, lecz zasnąć nie zdołał. Przez tydzień wszystko się ułożyło, stanęło na swoim miejscu i życie Waniuszy potoczyło się poprzednim torem.

Tak przestali w lasach augustowskich przeszło miesiąc. Wokół panowała cisza, aż tu nagle ni z tego ni z owego — rozkaz odwrotu. Pułk porzucił pozycje i zaczął się cofać. Drugi batalion szedł w straży tylnej. Z początku Niemcy naciskali niezbyt szczególnie, lecz za to kiedy Rosjanie wyszli z lasów — porządnie dali się we znaki. Szczególnie mocno cisnęli 253-ci pułk Pierickopski i dlatego dowództwo z myślą o oderwaniu się od przeciwnika, rzuciło na pomoc drugi batalion elizabetgradczyków. Nocą batalion osłaniał cofających się zajmując pozycję na otwartym polu. Od rana Niemcy przeszli do natarcia. Elizabetgradczycy, wykonując swoje zadania, poczęli skokami, plutonami cofać się. Największe uderzenie zostało skierowane przeciw załogom cekaemów (Niemcy na wszelkie sposoby starali się zniszczyć — jak je nazywali — „straszliwe rosyjskie cekaemy"). Waniusza z Henrykiem byli do cna zmordowani wleczeniem za sobą na pasku ciężkiego „maksyma". Nadszedł szczególnie groźny moment, gdy Niemcy rzucili za wycofującymi się — kawalerię. Jakiż jest sposób na oderwanie się od niej? Czegoż nie robili cekaemiści, a husarzy w swych czarnych czapach już ich dosięgali.

Zabrakło sił na dalszą ucieczkę, a do lasu jeszcze ponad wiorstę. Pozostało zatrzymać się i przygotować cekaem do walki. Oto już od galopujących Niemców dzieli ich około trzystu kroków, widać, jak w promieniach zachodzącego słońca połyskują ich szpady. Ósmy batalion z dowódcą na czele (teraz już podporucznikiem) Wasiljewem również zatrzymał się do odparcia salwami. Waniusza wyrąbał długą serię do kawalerii. Konie zaczęły się walić koziołkując, spadali na ziemię jeźdźcy. Rozległy się gęste salwy ósmego plutonu. Część husarii rzuciła się do tyłu. Skorzystali z tego Waniusza z Henrykiem, uchwycili za pasy swój cekaem i dalej biegiem do lasu, byle dalej, nim wróg opamięta się i znów powtórzy pościg. Tymczasem cekaem przewraca się na nierównościach, zatrzymuje, nie pozwala biec szybciej...

— Wasza ekscelencjo, proszę dać rozkaz strzelcom pomóc nam, nie mamy już sił — błagał Waniusza, zwracając się do Wasiljewa.

Podporucznik uśmiechnął się w odpowiedzi — widać, wciąż jeszcze pamiętał niedawny bój, pomoc Waniuszy i zawołał do żołnierzy:

— Przyjaciele! Pomóżcie cekaemistom.

Strzelcy uchwycili cekaem. Ach, jaką Waniusza uczuł ulgę! Wydało mu się, że teraz dopadnie lasu bez trudu, a tam... Tam już po strachu, w lesie kawaleria nic nie zrobi, zaś piechota ich nie dogoni.

Ale kawalerzyści sformowali już szyk i znów szybko zbliżali się ku elizabetgradczykom. I znów wypadło zająć pozycję, obrócić i ustawić karabin maszynowy. Amunicji zaledwie jedna taśma, amunicyjni z pozostałymi dwiema skrzynkami gdzieś przepadli. A tu w dodatku Henryk wadliwie podał taśmę do podajnika, nastąpiło skrzywienie naboju. Nim Waniusza drżącymi rękoma usunął blokadę, niemieccy kawalerzyści znaleźli się tuż obok. Już, już dopadną cekaemistów i wytną na kawałki. Gdzieniegdzie już dosięgali piechoty, poszły w ruch szpady.

Waniusza w końcu usunął defekt i załadował cekaem. Niemieccy kawalerzyści znaleźli się o sto kroków. Dolatywało głośne chrapanie koni. Lecz wtedy zaszczekał cekaem. Niemcy rozsypali się pozostawiając sporo zabitych. Waniusza przeniósł ogień na wycofujących się. Cóż, kiedy taśma się skończyła. Zabrakło nabojów. Waniusza z Henrykiem ponownie rzucili się co sił w nogach do lasu. Cekaem koziołkował, przewracał się, nie pozwalał biec szybciej. Do lasu już choć ręką sięgnij, wabi swą ciemną ścianą. A tu nie wiadomo skąd zjawia się kawalerzysta, nalatuje na Waniuszę i już podnosi szablę nad jego głową. Lecz cóż to? Suchy trzask rewolwerowy — i jeździec spada z siodła. Dopiero teraz ujrzał Waniusza obok siebie podporucznika Wasiljewa z naganem w ręce. Oto kto jest jego wybawcą. Jeszcze większa fala uczucia wdzięczności owiała Waniuszę. Jednak zaledwie zdołał wykrztusić:

— Wasza ekscelencjo, dziękuję. Pan uratował mi życie.

— Ee, kochany, tyś pierwszy mnie uratował. I nie tylko mnie, lecz całą baterię. — I jakby opamiętawszy się, dodał: — No, a teraz szybko do lasu.

Zaledwie cekaemiści dobiegli do lasu, a tu pod pniem zbroczony krwią leży amunicyjny z dwiema pełnymi skrzyniami. Waniusza znów do podporucznika:

— Zabito nam amunicyjnego... A bez naboi jesteśmy jak bez rąk!

Wasiljew sam złapał obie skrzynie i razem z Waniuszą i Henrykiem pobiegł w głąb lasu.

— Uratowani! — wymówił, gdy strzelanina za nimi zaczęła powoli ucichać.

Gęsty mrok kładł się nad lasem. Wokół dowódcy zbierali się strzelcy ósmej kompanii. Nazbierało się ich do pół setki. Wszyscy byli nieprawdopodobnie zmęczeni. Przemoknięte na wylot bluzy kleiły się do ciała, zwałowania ciążyły ołowiem i trzeba było nie lada silnej woli, aby ich nie wyrzucić. A tu trzeba było iść dalej.

Podeszli do budki kolejowej. Tu powinien był oczekiwać cekaemistów Akim Kagła ze swoimi dwukółkami pod cekaemy, lecz nikogo nie było.

Wszyscy zatrzymali się, z trudem chwytając powietrze. Doszła piąta kompania i czwarty cekaem razem z Mitrofanem Iwanowiczem. Po pewnym czasie pojawiły się pozostałe kompanie drugiego batalionu z dowódcą kapitanem Szałowinem. Ten zebrawszy żołnierzy, rozkazał iść dalej torem kolejowym, zachowując ciszę.

Ukazała się mijanka. Tam ujrzeli cekaemiści kuchnie i dwukółki załogi cekaemistów na czele z feldfeblem. Tak jak sądził plutonowy, jezdni zostali przeniesieni od budki kolejowej na rozkaz feldfebla i teraz przy mijance zebrał się cały obóz pierwszego rzutu pułku. Gdy kaemiści dobrnęli do mijanki, dosłownie popadali ze zmęczenia na ziemię. Wszak oni nie to co piechurzy! Tamci idą z samymi karabinami i z plecakami, a cekaemista wlecze na sobie karabin maszynowy lub podstawę z tarczą. Szymanowski zupełnie wybił się z sił i po prostu upadł na ziemię, obok dwukółki. Zrozumiałe: dokonać takiego skoku — to nie bryczką pułkownika przejechać się do gimnazjum!

Konie, podobnie jak ludzie, były zmordowane i także zwaliły się obok uwięzi. Stały tylko wierzchowce oficerów i para Akima Kagły. Właśnie chodził od jednego do drugiego nie dając im spokoju, pocierał je wiechciem ze słomy, czyścił szczotkami. „Bydlę także lubi czystość" — tonem usprawiedliwienia mamrotał pod nosem Akim. Później starannie oczyścił podstawę cekaemu, a numer siódmy Mieszkow, który najwięcej zawinił, umył tarczę. Rzeczywiście, mógł przecież Mieszkow pozostać przy budce kolejowej z wierzchowcami pod ładunek cekaemu! Wówczas nikt nie miałby much w nosie, szli by cekaemiści obok ciężarów lekko i swobodnie.

Mieszkow wyprał nawet owijacze Waniuszy, Szymanowskiego, Mitrofana Iwanowicza i powiesił je na słoneczku — zawsze to lżej będzie w marszu. To przecież nasi „starzy", oni od samego początku wojny klepią biedę — rozumował w duchu Mieszkow, a pozostali z uzupełnienia niech sami piorą. Wprawdzie Henryk również z uzupełnienia, lecz za to on chłop „łebski", „uczona bestia". Tak mądrze i składnie o wszystkim opowiada, że później sam nad wieloma sprawami musisz się zastanawiać". Dlatego Mieszkow zdecydował, że i Szymanowskiemu nie zaszkodzi pomóc w marszu. Jak to przyjemnie owinąć nogę czystym owijaczem! Wówczas żołnierz nie idzie, lecz wprost szybuje na swojej dwójce.

Wieczorem po kolacji, pułk kontynuował odwrót.

Resztkami sił, przez noc przemaszerowali czterdzieści wiorst. Sytuacja jednak nie poprawiła się. Żołnierze pogadują, że Niemcy dalej obchodzą nasze wojska. My, powiadają, frontem idziemy, a oni na przełaj. I rzeczywiście, kanonada artyleryjska grzmiała tam, dokąd podążał pułk.

Tak cofaliśmy się tydzień, drugi. Cekaemistom teraz było lżej niż piechocie: szli sobie bez obciążenia obok zaprzęgów z samymi tylko karabinami. Waniusza nawet jechał na koniu dowódcy cekaemu, nic dziwnego, w boju pełnił obowiązki właśnie dowódcy. Lecz Waniusza żałował Henryka i prawie połowę drogi oddawał mu swego konia. Jakby nie było, to jednak drugi z obsługi, no i poważał go Waniusza: znosi trud żołnierski, chociaż i syn pułkownika. Pozostałe numery obsługi cekaemu z rzadka tylko wymieniali się z jeźdźcami i z siódmym z obsługi Mieszkowem, chociaż ten niezbyt chętnie ich tym rozpieszczał, trzymał się bowiem bardziej oficjalnie, jak przystało na starego wojakę w stosunku do nowobrańców, którzy zaledwie poznali zapach prochu.

W jeden z gorących dni sierpniowych 256-ty pułk zatrzymał się i zajął pozycję obronną na brzegu jakiejś niewielkiej rzeczki. Niezwykle trudno było tu się okopać: grunt sypki, jak nie staraliśmy się, a piasek ponownie wszystko zasypywał. Wreszcie machnęliśmy ręką na tę bezskuteczną kopaninę, w nadziei, że wkrótce nastąpi odmarsz. Przecież nie raz się zdarzało: dowództwo twierdzi, że cofać się więcej nie będziemy, a tu patrzysz — pod wieczór znów to samo.

Cekaemiści znaleźli jakieś szopy koło nadleśnictwa. Na swoją odpowiedzialność i ryzyko rozebrali je, deskami umocowali załamania w okopach, zbudowali wygodne, choć co prawda odkryte — stanowiska karabinów maszynowych. Zaprawą z gliny wysmarowali tarczę i ochraniacz cekaemu i, nim były wilgotne, posypali je, niczym pudrem, miałkim piaskiem — powstało maskowanie na schwał. Stanowiska utkaliśmy gałązkami jedliny, tak że zauważyć je z niemieckiej strony było mało prawdopodobne.

Mogłoby być nie najgorzej, gdyby nie to, że już tydzień nie było dowozu produktów. Żołnierzom pozostały zaledwie żelazne racje — woreczek sucharów, konserwa mięsna, troszkę cukru, szczypta herbaty i odrobina soli, lecz — wedle rozkazu — bez specjalnego zezwolenia nie wolno było tego naruszyć.

Pewnego razu Waniusza i Henryk w pobliżu nadleśnictwa spotkali cielę.

— Dawaj ustrzelimy je, niech pluton zje kolację — zaproponował Szymanowski.

Waniusza lekko się zamyślił. Jakby nie było należy do władzy, starszy strzelec. Ale spojrzawszy na boki, wyrzekł:

— Wal, Heniu! Tylko strzelaj jak najdokładniej.

A cielak ufnie ustawił się do nich swoimi wielkimi oczyma, czekając, najwidoczniej na kawałek chleba z solą. Henryk włożył nabój do magazynka i wystrzelił wprost w bielutką gwiazdeczkę, która zdobiła jego czyściutką brunatną głowę. Cielak poruszył się, z głowy wytrysnęła krew, lecz stał dalej na swych szeroko rozstawionych nogach. Szymanowski jeszcze raz wystrzelił, cielę jednak stało dalej z otwartymi oczyma. Serce Waniuszy zamarło i on pomyślał: „No tak, Bóg ukarał za bluźnierstwo". Szymanowskiemu wystąpił pot na czole, on również zmieszał się. Ale Waniusza znał zabójczą siłę kuli i nie mógł myśli dopuścić, aby zwierzę mogło jej się oprzeć. Pokonując zmieszanie podszedł do cielaka i pchnął nogą. Cielę upadło i nie poruszyło się. Waniusza z Henrykiem odnieśli je do młodniaka sosnowego i tam oczyścili.

Mieszkow i Akim Kagła przygotowali cudowną zupę mięsną, pluton karabinów maszynowych zjadł fantastyczną kolację i nawet poczęstował strzelców z sąsiedniego oddziału piechoty. Nikt nawet nie zapytał skąd zjawiło się mięso i do tego tak delikatne i smaczne. Ważne było najeść się do syta po kilku dniach głodowania. Lecz Waniuszę męczyły wspomnienia o cielaku. Nawet we śnie go ujrzał: stał przed nim, a z jego dobrych oczu, staczały się duże, jak śliwy, łzy...

Wania nagle obudził się. „Dlaczego cielak nie upadł od razu, po pierwszej kuli? Po grzbiecie przeleciały mu ciarki, opanowało go jakieś złe przeczucie. Przypomniał sobie, jak w Odessie, w cyrku na Kulikowym Polu, policja i żołnierze zabijali słonia Jambo. Słoń odmówił posłuszeństwa pogromcy. Pomyśleli, że wściekł się. Rozstrzeliwali po ustawieniu z tyłu pancernych płyt do przechwytywania kul. Wiele ich wystrzelono, a słoń stał sobie nadal i nawet trąbą poruszał. Mieszkańcy Odessy napomykali, że podobno zużyto sześćset naboi, by zwalić tego giganta. „No tak, to był słoń, a tu malutkie cielę" — myślał Waniusza. Natrętna myśl o tym, co zaszło w pobliżu nadleśnictwa, długo go prześladowała. Lecz o wypadku nikomu nie wyrzekł słowa. Nawet Henrykowi, tym bardziej, że ten sam jakoś nie wspominał. Mało, widać było, że nie chce wspominać... Zapewne Szymanowskiego także sumienie gryzło.

Przełożył: Witold Słotwiński

TEATR

„RZECZPOSPOLITA ZAPŁACI"

Dramat Haliny Auderskiej „Rzeczpospolita zapłaci" jest jeszcze jedną dramatyzacją dziejów Barbary Radziwiłłówny i Zygmunta Augusta, lecz ukazaną w świetle najnowszych badań historycznych. Barbara i Zygmunt August zeszli tu właściwie do rzędu postaci drugoplanowych. O wiele ważniejszą niż sprawa tego małżeństwa stała się w sztuce Auderskiej dyskusja polityczno-społeczna, dotycząca najważniejszych spraw Rzeczypospolitej, jak np. kwestia uregulowania stosunków między średnią szlachtą a możnowładztwem, dążenie obozu „egzekucyjnego" do przebudowy całego ustroju państwowego, doprowadzenie do reformy kościoła.

Nader ważnym bohaterem swego dramatu uczyniła Halina Auderska Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej wybrał tę sztukę, aby uczcić 400 rocznicę śmierci jednego z najciekawszych i najbardziej postępowych ludzi polskiego Odrodzenia, którego słusznie nazwano „ojcem polskiej myśli demokratycznej". Szkoda jednak, że autorka potraktowała Frycza, podobnie zresztą jak i inne tzw. pozytywne postacie, zbyt ogólnikowo i schematycznie, czyniąc go bardziej przedmiotem niż podmiotem akcji dramatycznej. Dlatego też grający tę postać — Henryk Dudziński, miał niełatwe zadanie. Frycz Modrzewski w dramacie H. Auderskiej przez cały czas wygłasza swe poglądy (m. in. szereg autentycznych cytatów z dzieł Modrzewskiego) na temat walki o sprawiedliwość polityczną i społeczną. A przecież stałby się niewątpliwie postacią bardziej „ludzką" i „życiową", gdyby mógł również mówić od siebie — jak ocenia postępowanie króla i jego małżeństwo z Barbarą. Dopiero wówczas mógłby przewidywać skutki takiego postępowania i starać się im zapobiec. H. Dudziński potrafił jednak podać ten trudny tekst w sposób rzeczowy i inteligentny, a stworzona przez niego postać miała swój jednolity styl.

Interesującą interpretację roli Zygmunta Augusta zaproponował Włodzimierz Tympalski. Nie był to Zygmunt August, jakiego stworzyła w swej sztuce H. Auderska, tzn. jedynie słaby, wpływowy i uległy amant Barbary. Nie był to także ten, którego znamy z innych dramatów. Zygmunt w jego wykonaniu to nie tylko papierowy kochanek, lecz także typowy człowiek epoki Renesansu, pełen wahań, niepokoju i wewnętrznych sprzeczności, który nawet uwikłany w sieć możnowładczych podstępów i zależności nie poddaje się ich woli bez wahania. Chciałoby się jednak widzieć bardziej zdecydowane przejścia od owych chwil wahania do momentów podejmowania konkretnych postanowień.

Natomiast postać Barbary Radziwiłłówny potraktowana została przez Dagmarę Foniok chyba zbyt tradycyjnie, tzn. jako ofiara ówczesnych stosunków feudalnych, krzywdzona, kochająca i niewinna. Należałoby nadać jej, jak słusznie pragnie autorka sztuki, nieco cech istoty żądnej władzy i królewskich tytułów, przewrotnej i sprytnej.

Bona Sforza w wykonaniu Danuty Cwynarówny była — nijaka. A przecież jest to jedna z ciekawszych postaci tej sztuki. Bona to kobieta pełna niespodzianek i kontrastów. Przy całej swej despotycznej naturze, gwałtownym charakterze i gruntownym wykształceniu, posiadała wiele kobiecych słabostek. Chwilami była kapryśna i uparta jak dziecko; to znów nerwowa, rozgniewana, często zapłakana sekutnica. Tymczasem D. Cwynarówna próbowała wygrać tę całą skomplikowaną naturę królowej Bony na jednym tonie, posługując się jedynie sztucznym, płaczliwym głosem i udanymi, fałszywymi gestami rozpaczy. A przecież jest to aktorka, która ma za sobą kilka udanych ról i wszelkie dane po temu, aby i w tej roli stać się interesującą.

Bardzo dobrze zagrał Stanisław Kamiński w roli Stańczyka. Szczerość i prawdziwe uczucia zaproponowali Anna Cellari jako Joanna Dębińska i Tomasz Karasiński jako Stanisław Szafraniec. Przydałoby się im jednak trochę więcej temperamentu i mniej tremy. Ciekawe były propozycje postaci: Radziwiłła Czarnego (Remigiusz Rogacki) i Jana Tarnowskiego (Tadeusz Teodorczyk). Również nieźle wywiązali się ze swego zadania w rolach niezbyt „wdzięcznych" aktorsko (których słabość wynikała z pewnych niedostatków dramaturgicznych sztuki): Jerzy Staszewski, Wiesław Szewczyk, Edward Łowicki, Marian Harasimowicz i Jerzy Czupryniak.

„Rzeczpospolita zapłaci" H. Auderskiej opiera się w głównej mierze na dialogu i z powodzeniem mogłoby to być słuchowisko radiowe. Ze względu na jej „statyczny" charakter oraz minimalny rozwój akcji dramatycznej trudno oceniać reżyserię Jana Perza, który, jak się zdaje, w znacznym stopniu zawierzył propozycjom samych aktorów.

Dekoracje Henri Poulaina cechowała oszczędność i umiar (scenograf uwzględnił zapewnie objazdowy charakter tego teatru). Naprzeciwko siebie dwa podesty. Jeden służył do scen rozgrywających się na Wawelu, drugi na zamku w Piotrkowie. Pośrodku sali, przedzielając również rzędy krzeseł na widowni, ustawił czarny katafalk, na nim złożył insygnia władzy królewskiej: miecz i koronę. Owe rekwizyty przypominały widzom nie tylko symbol żałoby po zmarłym królu, lecz także ostrzeżenie przed zgubną polityką możnowładców, za którą to w końcu „Rzeczpospolita musiała zapłacić" swą wolnością.

Państwowy Teatr Ziemi Łódzkiej. „Rzeczpospolita zapłaci" — Haliny Auderskiej. Reżyseria: Jan Perz. Scenografia: Henri Poulain. Asystent reżysera: Jerzy Staszewski.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

PLASTYKA

Nie luksus a potrzeba

Makijażem miasta jest „mała architektura", czyli przestrzenne utwory kameralne w postaci ławek, balustrad, straganów, pawilonów usługowych, kiosków, pojemników na śmieci, latarni, słupów ogłoszeniowych, form do kwiatów, stelaży z planszami reklamowymi. W mieście współczesnym ilość i różnorodność form małej architektury rośnie nieustannie, spełniając obok funkcji podstawowych, które były powodem ich zaprojektowania, cały szereg funkcji wtórnych, wynikających z kształtu, wielkości, standardu, miejsca usytuowania w krajobrazie, częstotliwości występowania.

Formy małej architektury podlegają, ze zrozumiałych względów, zmiennym modom i prądom artystycznym, urozmaicając przestrzeń miejską, stając się oparciem dla wielu zjawisk społecznych, związanych z użytkowaniem, z percepcją owej przestrzeni miejskiej przez jej mieszkańców. Mała architektura dokonuje ponadto istotnego zabiegu strukturalizacji przestrzeni i wprowadza w nią odmienną, kameralną skalę, znajdując ważnego partnera w szacie informacyjno-dekoracyjnej miasta. Rola tej architektury wobec innych problemów miasta jest niewielka, ale codzienna i powszechna. Nigdy nie stanie się pierwszoplanową — za to ona właśnie z racji swych funkcji ułatwia, a z racji swych walorów estetycznych, uprzyjemnia i uatrakcyjnia życie mieszkańców. Może, oczywiście, zaistnieć sytuacja odwrotna. Wygodne ławki w parku, wkomponowane w zieloną przestrzeń, a w połączeniu z kamiennymi stolikami do gry w warcaby i szachy mogą stać się ulubionym miejscem spotkań towarzyskich. Budka z piwem tonąca w stercie skrzynek również jest miejscem spotkań, lecz o nieco innym charakterze.

Między teorią a praktyką istnieją, jak zwykle, różnice. Miasto obrasta w małą architekturę w sposób tyle skoordynowany, co spontaniczny. Istnieją ponadto dzielnice, w których nie pojawia się ona wcale, albo w znikomym stopniu, albo też jawi się w formach przeczących zarówno funkcji, do których została powołana, jak i podstawowym wymogom estetyki. Swego czasu na ulicach Łodzi pojawiły się kosze na śmieci w postaci pokracznych, blaszanych pingwinów, na widok których nawet małe dzieci miotały się w konwulsjach strachu i obrzydzenia. Zniknęły z ulic dawno, ale zostały zastąpione również nieestetycznymi blaszanymi pojemnikami, pordzewiałymi i obłażącymi z farby. Kosz na śmieci czeka nadal na swego Corbusiera. Podobnie ma się sprawa z przystankami tramwajowymi i autobusowymi na przedmieściach i osiedlach. Stawiane wiaty ze stalowej konstrukcji nie chronią ani przed wiatrem, ani przed deszczem, ani też nie są źródłem estetycznych wzruszeń. Śmietniki na nowych osiedlach przypominają jako żywo, bądź kurniki, bądź altanki z ogródków działkowych... Przykłady można mnożyć w nieskończoność. Ktoś nazwał plakat uśmiechem miasta. Łódź nie śmieje się wcale, nie uśmiecha się nawet półgębkiem. Na ulicach Łodzi nie ma plakatów, bo nie przewidziano miejsca na ich eksponowanie. Zburzono okrąglaki ogłoszeniowe, które tyle uroku przydawały ulicy, ale nie zaprojektowano żadnej formy zastępczej. Plakaty rozlepia się więc na płotach, osłaniających place budowy, w miejscach przypadkowych, z dala od głównych arterii komunikacyjnych, degradując ich przeznaczenie i marnując ich uroki. Nie dziwota, że plakat ucieka na ściany prywatnych mieszkań.

Do rangi problemu urasta sprawa małej architektury w nowo powstałych osiedlach. Nic nie zakłóca ich nieludzkiej monotonii, żadna forma nie ożywia marudnych szeregów identycznych bloków. I doprawdy małą pociechą jest dla mieszkańców fakt, że ich osiedle z lotu ptaka przedstawia „interesujący układ urbanistyczny z funkcjonalnie rozwiązaną siecią komunikacyjną". A przecież cechą naturalną człowieka, chodzącego codziennie po tych samych ulicach, jest orientowanie się według pewnych wizualnych punktów, wprowadzających w przestrzeń ład i bliższą, swojską skalę. Kiosk z gazetami, stragan z zieleniną, ławka na skwerze, kamienna forma na kwiaty — te elementy spotykane codziennie wyznaczają naszą miejską trasę, stają się źródłem drobnych, często nie uświadomionych wrażeń i uroków. Zniknięcie któregoś z nich wywołuje dojmujące uczucie przykrości, pojawienie się elementu nowego — żywe zainteresowanie i prostą radość. Koszmarem miast naszych, a w tym i Łodzi są najrozmaitsze stelaże, obwieszone reklamowymi i propagandowymi planszami, ustawiane zwykle na skwerach i skwery te zasłaniające, na poboczach autostrad. Pordzewiałe rusztowania z rur dźwigają wypaczone plansze, albo też powyginane w esy-floresy, pospawane w jakieś przedziwne kompozycje, dają świadectwo o artystycznych zapędach domorosłych twórców, szpecąc miejską przestrzeń nad wyraz skutecznie. I one czekają, jak dotąd — bezskutecznie, na swego Michała Anioła.

Mała architektura wzbogaca miasto. Jest jego teraźniejszością i jego najbliższą historią. Historią dnia wczorajszego. Czasem staje się symbolem, jak gazowa latarnia, ogłoszeniowy okrąglak z kioskiem w środku, kamienna ława, a czasem symptomem nowoczesności. Mała architektura może różnicować lub unifikować pejzaż miejski. Może w połączeniu z szatą informacyjno-dekoracyjną miasta podnosić uroki lub kamuflować braki dużej architektury. Może rozładowywać skutki niewłaściwej proporcji tejże architektury. Pamiętać jednak należy, że jest ona czynnikiem, jak to określa socjolog sztuki, Aleksander Wallis, „naszego codziennego, psychicznego dobrobytu".

ANDRZEJ GRUN

TELEWIZJA

Czy rozumiemy nasze dzieci?

W Teatrze Poniedziałkowym dramat radzieckiego pisarza, Michaiła Roszczina „WALENTYNA I WALENTYN", w reżyserii K. Ciciszwili. Sztuka współczesna, co, jak się wydaje, zawsze wzbudza zainteresowanie i dyskusje wśród (tele) widzów.

Nazwałem dramat Roszczina sztuką współczesną i chociaż jest to fakt oczywisty, można by go nieco zakwestionować. Co mam na myśli? Realia, bohaterowie, język — wszystko się zgadza, mogą to być lata sześćdziesiąte czy siedemdziesiąte. Ale problem stary jak świat: wchodzenie w „dorosłe" życie młodych ludzi.

Mówi się, że nie ma nowych problemów, lecz może być tylko nowe spojrzenie na odwieczne tematy: życia, śmierci, miłości. I właśnie to spojrzenie Roszczina wydaje mi się mało współczesne, mało odkrywcze, sprowadzające się w konsekwencji do powielania starego schematu.

Brzmi to jak bardzo poważny zarzut, ale nie dyskwalifikuje autora i inscenizatorów za tę pozycję w repertuarze TV. Śledzę od dawna zmagania radzieckich twórców z tematem współczesnym, jestem gorącym orędownikiem ich (mniej czy bardziej udanych) poszukiwań, obserwuję z satysfakcją to, co dociera do nas w postaci książek, filmów, telewizji. Cenię ich za to (z czego koneserzy mogliby ukuć zarzut), że nie ulegają modzie i nie gubią się w poszukiwaniach formalnych, przedkładając nad te formalne igraszki ważne i potrzebne dla masowego odbiorcy treści współczesnego świata. Sztuka „Walentyna i Walentyn" w tym nurcie mieści się doskonale, może być jego ilustracją, mimo, iż niezbyt wysokiego lotu.

Dramat Roszczina, mimo, iż bardzo mocno tkwi w realiach radzieckich, ma charakter uniwersalny. Zmienić imiona, miejsce akcji i można by podpisać rzecz całą nazwiskiem Jarosława Abramowa, Marka Domańskiego lub któregoś z dramaturgów polskich, zajmujących się tą problematyką. U nas również młodzi ludzie borykają się z podobnymi problemami u progu życiowego startu, u nas również rodzice nie rozumieją aspiracji i pragnień swoich dzieci, tak samo nie znajdują wspólnego języka rodzeństwo, koledzy i przyjaciele. Roszczin ma więc rację, ale — i tu zasadniczy zarzut — nie jest to problem centralny, decydujący, społecznie ważki. Wiadomo, że od dziesiątków lat rodzice nie chcą zbyt wcześnie wypuszczać dzieci spod swej opieki, że boją się „mezaliansów", że zapominają, co to jest pierwsza miłość, porywy serca i młodzieńcza ambicja, nad wszystko przedkładająca samodzielność i decydowanie o własnym losie. I z drugiej strony wiadomo, że mimo trudności i owego niezrozumienia młodzież „daje sobie radę" i szybko niedawne dzieci mają już kłopoty z własnymi dziećmi. I krąg się zamyka.

Jednak mimo braku tematycznej odkrywczości Michaił Roszczin przedstawił nam sprawę godną uwagi. Zastanawia i wzbudza sympatię ton, w jakim mówi o młodzieży. Są to ludzie młodzi, ale z poczuciem odpowiedzialności za losy własne i kraju, myślący refleksyjnie, a jednocześnie nie pozbawieni umiejętności praktycznego spojrzenia na życie. Solidarni przy tym, szanujący więzi przyjaźni i koleżeństwa. A przede wszystkim różni, jak w ogóle różni są ludzie, a więc nie pozbawieni wad i odruchów słabości, jak siostra Wali, czy udająca chyba bardziej życiową konformistkę koleżanka szkolna Walentyna. W sumie jest to prawdziwy portret młodego pokolenia, przy którym starsi, jak matka i babka Wali są postaciami anachronicznymi, jakby reliktami z innej zupełnie epoki.

Co z tego materiału zrobił reżyser Konstanty Ciciszwili? Jak spisali się (również) młodzi aktorzy?

Generalny zarzut, jaki można postawić reżyserowi, to zbyt kurczowe trzymanie się tekstu sztuki. W zasadzie jestem wrogiem reżyserów i inscenizatorów, którzy traktują tekst literacki jako swobodne tworzywo, ale w tym wypadku skróty były nawet konieczne. Rozumiem autora, który chce powiedzieć jak najwięcej. Inscenizator musi jednak trzymać się dramaturgicznych rygorów, takich m. in. jak zwartość, klarowność wypowiedzi, podporządkowanie fabuły myśli przewodniej dramatu. W wypadku „Walentyny..." z pożytkiem można było zrezygnować z kilku ubocznych wątków, scen jakby sztucznie doklejonych do całości. Myślę o scenach z „marynarzem (Niwiński) i gościem z pociągu" (Pak). Zbyt przemądrzale wypadła babka Wali (Małynicz) i należało wyciszyć jej wtręty. Zupełnie zbędne były dokrętki filmowe. Miały zapewne w zamyśle reżysera ożywić spektakl, a w efekcie osłabiały tempo akcji i rozpraszały uwagę widzów. Myślę, że nie trzeba przy każdej okazji korzystać z możliwości technicznych telewizji i sztucznie komponować różne miejsca akcji.

Tytułowi bohaterowie: Ewa Żukowska i Jerzy Matałowski zaprezentowali się zupełnie dobrze. Szczególnie Żukowska, którą autor mógł sobie wymarzyć do tej roli. Ujmująca, delikatna, czasami kapryśna, ale mądra i odważna. Nie przypominam sobie ani jednego momentu (a było kilka scen ocierających się o banał), żeby Żukowska wypadła z roli, uczyniła fałszywy gest. Również Jolanta Lothe przekonywająco wypadła w ostatnich scenach.

W sumie: nie rewelacja, ale potrzebny spektakl. Nie rozbudzający wielkich dyskusji i namiętności, ale wprawiający w refleksyjną zadumę: czy rozumiemy nasze dzieci, ludzi, siebie?

JAROSŁAW TARNO

KONRAD FREJDLICH

PASZKWIL GASTRONOMICZNY

Jest to historia smutna nieco, lecz jeszcze bardziej pouczająca. I może właśnie dlatego warto ją przedstawić Czytelnikowi, chociaż społeczne koszta tej edukacji są wygórowane, indywidualne także. Ale zanim popadnę w dydaktyzm, co jest w tym wypadku nieuniknione, zacznę od kilku zastrzeżeń.

O restauracjach w naszym kraju, w tym także o łódzkich, napisano już całe tomy. Mają w tym zasługę także „Odgłosy". Mój kolega z redakcyjnego pokoju Andrzej Makowiecki zaczernił na ten pasjonujący temat sporo papieru, za co otrzymał wierszówkę z trzech kolejnych numerów naszego tygodnika. Uparł się bowiem, że poprawi warunki sanitarne w lokalu o smakowitej nazwie „Przekąska". W odpowiedzi otrzymał list podpisany przez blisko dwadzieścia osób, rzeczowy, bo z groźbami. Dokument ten znalazł swoje miejsce w annałach naszej prasy. I pewnie by długo trwała ta wymiana poglądów, gdyby się do tej dyskusji nie wtrącił urząd sanitarny. Po prostu inspektorzy „sanepidu" zamknęli lokal. Dowiedziałem się o tym zupełnie przypadkowo, z notatki w „Głosie Robotniczym". Bo, rzecz zastanawiająca, tym razem listu podpisanego przez dwadzieścia osób nie było.

Ale przecież wcale nie chodzi mi o to, żeby Czytelnikowi raz jeszcze uprzytomnić, iż sporo łódzkich lokali otrzymało kategorię sanitarną na kredyt, bo właściwie nie odpowiadają żadnym standardom. To samo dałoby się powiedzieć o kuchni, ale to żadna rewelacja i prawdę powiedziawszy już przywykliśmy do tego. A przecież nie można powiedzieć, że nic się w naszej gastronomii nie zmienia. Po słynnym procesie w Międzyzdrojach coraz rzadziej czytujemy w prasie, że znowu pobity został przez personel jakiś lokalowy bywalec. Wprawdzie i teraz jeszcze zdarzają się takie wypadki, czego dowodem drukowany na łamach „Odgłosów" list naszego czytelnika o gorszącej scenie w nomen omen łódzkiej „Europie", ale to ostatecznie nic rewelacyjnego. Bicie klientów nie przystoi, a poza tym niesie w sobie zbyt wielkie ryzyko. Myślę też, że coraz rzadziej będzie podejmowane. Zwłaszcza, że są doskonalsze sposoby pozbywania się natrętów, a jak się to czyni opowiem.

Korzystam z usług gastronomii niezależnie od swoich chęci. Po prostu nie potrafię gotować, a i nie mam na to czasu. Przekąsić coś na mieście w zwykły dzień, to jeszcze pół biedy. Ale w dzień świąteczny, to prawdziwa niewiadoma.

W dniu Nowego Roku na całej osi ulicy Piotrkowskiej czynny był tylko jeden lokal: „Śródmiejska". Po prawdzie nie cały dzień, a tylko do godziny szesnastej, o czym informowała wywieszka. Szatniarz dodał od siebie, że w restauracji odbywać się będzie uczta weselna. Płaszcza przyjąć nie chciał „Chyba, że pan kierownik każe".

Było kilka minut po piętnastej, na sali nieoczekiwanie wiele miejsc. „Ja tu jestem kierownikiem" — zauważył z dumą przystojny brunet ubrany w kelnerski kitel. Kiedym zapytał, czy nie udałoby się mi jednak przez blisko godzinę zjeść obiadu, usłyszałem... Nie, tego nie napiszę, czytuje nas wszakże także młodzież.

Klient nie jest w takim wypadku całkowicie bezbronny. Wymyślono przecież instytucję pod nazwą: książka skarg i wniosków. Wymyślono także dodatkowe gwarancje, ot, choćby taki drobiazg: zeszyt nazwany książką powinien wisieć w lokalu w miejscu widocznym i dostępnym dla każdego. Wbrew rozpowszechnionej praktyce o książkę zażaleń, bo często używa się i takiej nazwy, nie prosi się, ją się powinno zdejmować.

Ale praktyka, jak to już wiemy, jest zupełnie inna. Księgi czujnie strzeże cały aeropag, poczynając od bufetowych a na kierownikach kończąc. Wydaje się ją bardzo niechętnie poddając wcześniej petenta surowemu egzaminowi, przy którym matura jest drobiazgiem nie wymagającym najlichszej wzmianki.

Egzamin nie wypadł widocznie na moją korzyść. Przystojny brunet zaciął się w uporze. Wprawdzie lokal miał jeszcze jednego kierownika, tym razem prawdziwego, ale i on uznał, że książki podawać nie należy. Zaproponował mi natomiast, abym swoje żale wypłakał w dyrekcji. — „To nawet niedaleko" — dodał przyjacielsko.

Ponieważ nie chciałem skorzystać z tej rady, sprawę rozstrzygnięto inaczej. Dziewiątego maja stanąłem przed Kolegium do Spraw Wykroczeń, obwiniony o zakłócenie porządku publicznego. Był to Dzień Zwycięstwa, i zarazem mojego zwycięstwa. Przed trybunałem uznano, że miałem prawo żądać książki zażaleń oraz uwolniono mnie od winy i kary.

Przedstawione tu zdarzenie nie zasługiwałoby może na tak szczegółowe roztrząsanie, gdybym się rychło nie przekonał, że stanowi istotną cechę pewnego systemu. I trzeba powiedzieć od razu, że gastronomia znajduje się w ofensywie, ciągle doskonaląc sposoby dokuczania swoim klientom. Praktyki te przenoszą się także na tzw. głęboką prowincję, co może być dowodem szybkiej europeizacji naszych osad, ale może być także dowodem na to, że sprawy wcale tak dobrze nie wyglądają. Bo oto nie dalej jak w lipcu, kiedym się wybrał w odwiedziny do znajomych w Sokolnikach, i po drodze wstąpiłem do gospody pod zalecającą się nazwą „Leśny Dwór", okazało się raz jeszcze, że wszędzie jest mniej więcej tak samo. Jest to lokal tranzytowy, o dużej przepustowości, z którego chętnie korzystają kierowcy, tym bardziej, że w okolicy rozciągają się słynne łućmierskie lasy. Izby na dole są ciemne od dymu, a może nie tylko od niego, natomiast na górze standard jest znacznie wyższy, przeznaczony dla lepszych gości. Poszedłem do tych z parteru, a że nie lubię nieporządku, poprosiłem o książkę zażaleń. No i wtedy dopiero się zaczęło.

Czytelnik domyśla się już chyba, jaki to zdarzenie znalazło epilog. 9 września stanąłem przed Kolegium do Spraw Wykroczeń pod zarzutem zakłócenia porządku publicznego. Rozprawa miała przebieg dynamiczny i miejscami bardzo interesujący, gdyż nigdzie nie poznaje się tak dobrze gastronomicznych praktyk, jak właśnie w trybunale. Wygrałem i tym razem. Przypuszczam jednak, że nasi mili gastronomicy nie powiedzieli jeszcze swego ostatniego zdania. Metoda, którą nazwijmy roboczo: książka zażaleń, znajduje się dopiero w powijakach. Myślę wszakże, że będzie nieustannie doskonalona.

Toteż nie wiem, czy przy kolejnej konfrontacji, nie znajdę się na pozycji przegranej. Pocieszam się tylko, że nie będę chyba osamotniony. Metoda ta upowszechnia się przecież, i jak przypuszczam — choćby dlatego wymaga także prasowej popularyzacji.

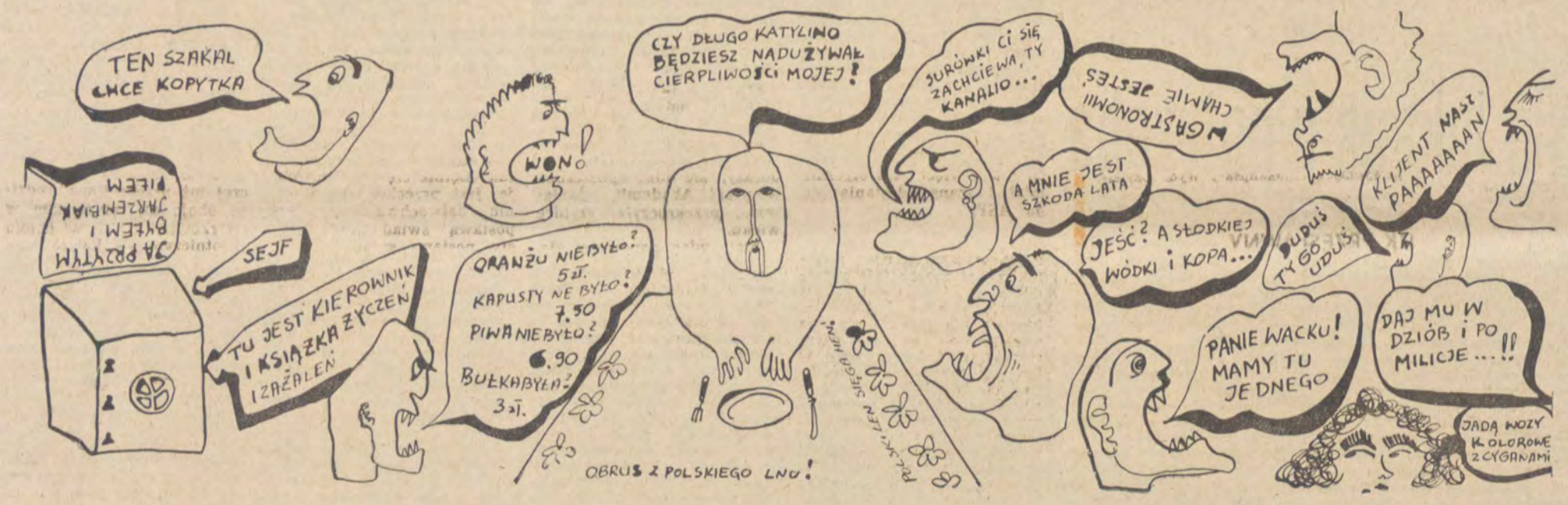

JERZY AUGUSTYNIAK

ARCHEOLOGICZNY RAPORT Z SIERADZA

Sieradz należy do najstarszych miast województwa. Źródła pisane wymieniają go po raz pierwszy w 1136 r. Był siedzibą kasztelanii, posiadał targ i komorę celną. W XII i XIII w. był Sieradz bardzo często wymieniany w dokumentach a Mierzwa — domniemany autor kroniki powstałej w połowie XIII wieku — mówi nawet o zajęciu Sieradza przez... Aleksandra Macedońskiego.

Co było wcześniej? Aby znaleźć odpowiedź na to pytanie ruszyli na sieradzkie wzgórze archeolodzy.

Prace wykopaliskowe rozpoczęły się w czerwcu 1958 roku. Ślady wczesnośredniowiecznego osadnictwa pochodzą z VI—VII wieku. Znaleziono je na płaszczystej kępie, otoczonej łąkami. Na przestrzeni około 500 m kwadratowych natrafiono na ślady palenisk, jam odpadkowych, żużel po wytopie żelaza, podkowę oraz fragmenty naczyń glinianych. Resztki palenisk, bez jakichkolwiek śladów zabudowy mieszkalnej — ziemianek — sugerują, że ludność mieszkała w domach o konstrukcji zrębowej, które nie pozostawiają śladów, zwłaszcza w złych warunkach terenowych.

Około trzystu metrów na północny zachód od reliktów VI—VII-wiecznych, również na suchych kępach natrafiono na kolejne ślady pobytu człowieka. Znaleziono zarysy domów, paleniska, podłogi z darnic, ułamki ceramiki, pozostałości wytopu żelaza i ołowiu. Wydawało się, że znaleziony materiał zbliżony był do tego, jaki odkryto poprzednio. Ale wytrawne oko badaczy znalazło różnice.

Ceramika była obustronnie polewana, glina mocno wypalona. W Opolu podobną ceramikę znaleziono w warstwach, pochodzących z XI w. Prześwietlona promieniami Roentgena gruda zardzewiałego żelaza, ujawniła w sobie istnienie tzw. kabłączka skroniowego o wym. 2,5 cm. Szklana obrączka z ornamentem w postaci spirali wykazywała wielkie podobieństwo do znalezionej w Kruszwicy, a datowanej na koniec XI w. Posłano obrączkę z Sieradza do Leningradu, a analiza spektralna wykazała skład chemiczny niemal identyczny ze składem szkła kruszwickiego. Jeżeli do powyższych znalezisk — datowników — dodamy monety tzw. krzyżówki z połowy XI w., to można stwierdzić, że druga kępa osadnicza — osada otwarta — pochodzi z połowy XI wieku.

Na jej miejscu, pod koniec XI w., a więc w czasach panowania Władysława Hermana, wzniesiono umocnienia obronne grodu. Składały się one z wału (liczącego u podstawy 7 m szerokości) i szerokiej na około 4 m fosy. Zachowały się relikty podstawy wału: czworokątne skrzynie z bali drewnianych, wypełnione kamieniami i ziemią. Do grodu przylegało podgrodzie, również otoczone wałem obronnym. Na obszarze około 1 ha przypuszcza się istnienie około 100 chat i około 500 mieszkańców.

W XII wieku Sieradz przeżywał okres świetności. Geograf i kartograf arabski, al-Idrisi wymienił Sieradz wśród takich miast, jak Kraków, Gniezno, Wrocław, które są „sławnymi stolicami i silnymi centrami, w których zebrane są dostatki rozmaitych krajów. Prócz tego zażywają one szacunku, ponieważ przebywają w nich uczeni wykształceni w dziedzinach nauk i religii rumijskiej. Rzemieślnicy ich są zręczni i obznajmieni ze swoimi zawodami".

W początkach XIII w. gród sieradzki został spalony, a podgrodzie opustoszało. Niektórzy badacze upatrują przyczynę spalenia grodu w najeździe tatarskim w 1241 r., zaś na opuszczenie podgrodzia wpływ miały na pewno liczne wylewy rzek i powodzie, poświadczone źródłowo w początkach XIII wieku. Ludność z podgrodzia przeniosła się na krawędź wysoczyzny, tam, gdzie dziś jest Sieradz współczesny. Miasto XIII-wieczne obejmowało obszar ograniczony prawdopodobnie dwoma ośrodkami kultu: kościołem parafialnym i klasztorem Dominikanów. Według J. Długosza nie posiadało umocnień obronnych. Najazd czeski w końcu XIII w. zniszczył miasto, a jedynie zamek potrafił się obronić.

Gród sieradzki nosił charakter wojenno-administracyjny. Podobnie jak w Łęczycy zabudowa koncentrowała się przy wewnętrznym stoku wału, środek grodu pozostawał pusty. Miało to swoje znaczenie przy ataku z zewnątrz. Budynki pozostawały w tzw. martwym polu, a pociski spadały na przestrzeń nie zabudowaną. W XIII w. nastąpiła przebudowa umocnień grodu. Nowym materiałem była ognioodporna glina, która grubym płaszczem pokryła cały wał: Z tego okresu pochodzi najwięcej zabytków ruchomych, znalezionych przez archeologów. Oprócz ceramiki natrafiono tu na narzędzia żelazne, części uzbrojenia, przedmioty codziennego użytku.

W dziesięć lat po rozpoczęciu prac wykopaliskowych, w r. 1968 natrafiono na wzgórzu zamkowym na nieznaną budowlę. Postawiona jest na planie nieregularnego koła o średnicy około 10 m. Usytuowanie w południowo-wschodnim narożniku grodu oraz wnioski z układu warstw sugerowały wieżę obronną. Dwudziestu wybitnych przedstawicieli archeologii i architektury zjechało do Sieradza, aby ustalić, że, resztki odkrytej budowli pochodzą z XIII w.

Badania wykopaliskowe na wzgórzu zamkowym w Sieradzu trwają. Cały obiekt, jako rezerwat archeologiczny (pierwszy w województwie) wejdzie w skład ulokowanego na pobliskich łąkach Sieradzkiego Parku Etnograficznego. Sporo problemów konserwatorskich pozostaje jeszcze do rozwiązania, zanim Sieradz zaprezentuje swoje najstarsze dzieje. Będzie to jednak wielka atrakcja dla licznych turystów.

Polityka na świecie

Nafta a problem palestyński

„INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE" — PARYŻ

Spłowiały plakat reklamowy sprzed dziesięciu laty, na którym uśmiechnięty sułtan leci samolotem wraz ze swym haremem wisi w odległym kącie bagdadzkiego lotniska. Nie ma on jednak nic wspólnego z dzisiejszą rzeczywistością. Plakat jest muzealnym rekwizytem.

Nowy Irak nie może sobie pozwolić na lekkomyślność. Plakaty, oddające nowe nastroje pojawiły się w czerwcu tego roku. Wiszą na ścianach kawiarń i w westybulach wielu biur na bagdadzkich ulicach sąsiadujących z Placem Wyzwolenia. Na plakatach widnieją jednak nie uśmiechnięci sułtani, lecz szyby naftowe. A na jednym z nich żołnierz iracki wygania z Kirkuku (iracki rejon roponośny — red.) brytyjskich i amerykańskich magnatów naftowych.

Plakaty i flagi z hasłami, rozwieszone w poprzek ulic, wzywają masy ludowe do konsolidacji wokół rządu, który śmiało znacjonalizował Iraq Petroleum Company, zachodni koncern, eksploatujący naftę w rejonie Kirkuku.

Zewnętrzny wygląd samego Kirkuku, praktycznie rzecz biorąc, nie uległ zmianie. Tyle tylko, że wojska irackie zajęły rejony wydobycia nafty i rozłożyły się tutaj obozem. Główna stacja pomp tłoczących nie pracuje, a spośród pięćdziesięciu pięciu szybów tylko na kilku płoną światła.

Jednakże, mimo ryzyka zmniejszenia wydobycia ropy naftowej i uszczuplenia płynących stąd dochodów, rząd twardo stoi na stanowisku, że stać go na decyzję unieruchomienia szybów, nawet przez długi czas. Zachodni dyplomaci, podkreślając wysoki stan rezerw waluty zagranicznej i konsolidację władzy w kraju, to zdecydowane oświadczenie rządu traktują poważnie.

W odpowiedzi na nacjonalizację, Iraq Petroleum Company zagroziła nabywcom nafty irackiej sankcjami sądowymi. Niektóre oficjalne osobistości Iraku utrzymują, iż „twardogłowi" w koncernie naftowym odrzucają rozmowy z Bagdadem, licząc na obalenie kierownictwa partii BAAS (postępowa partia arabska — red.). Ale, jak to określił pewien dobrze poinformowany zachodnioeuropejski dyplomata, „czy to się wam podoba, czy też nie, władza BAAS jest faktem niezaprzeczalnym. Ona nie upadnie".

Z dochodów, płynących z nafty Irak zabezpiecza ponad połowę środków na ekonomiczny rozwój kraju, a przede wszystkim na budowę dużych urządzeń rurociągowych oraz na podniesienie gospodarki rolnej. We wsiach żyje większa część 10-milionowej ludności Iraku. I fakt, że przywódcy partii BASS przywiązują wielką wagę do ekonomicznego rozwoju kraju tłumaczy rosnący prestiż władzy rządowej.

Nacjonalizacja Iraq Petroleum Company jest niezbitym dowodem trwałości reżimu w Bagdadzie i przydaje Irakowi dużej wagi w świecie arabskim.

Właśnie to, jak również nacjonalizacją zaostrzyły jego stosunki z Zachodem. Pełna kontrola rządu irackiego nad złożami nafty w Kirkuku oznacza, jak widać, że jeszcze długi czas dostawy nafty z jednej strony i polityka bliskowschodnia z drugiej będą ze sobą ściśle powiązane.

Obwiniając państwa zachodnie o popieranie Izraela „jako bazy wojennej na Bliskim Wschodzie, w imię zabezpieczenia kontroli nad naszymi bogactwami naftowymi", przewodniczący Narodowej Kompanii Irackiej, kontrolującej złoża naftowe w Kirkuku powiedział niedawno całkiem otwarcie: „Mamy pełne prawo występować przeciwko rządom, które działają przeciwko nam (...). Między problemem palestyńskim i naftą istnieją ścisłe związki".

Zagraniczne firmy atakują rynek USA

„US NEWS AND WORLD REPORT" — WASZYNGTON

Podczas gdy amerykańskie firmy bez ustanku i coraz bardziej inwestują w swoje przedsiębiorstwa handlowe w innych krajach, z kolei zagraniczne kompanie zwiększają inwestycje na dalszy rozwój swoich firm w USA. W konsekwencji amerykańscy konsumenci tracą wiele milionów dolarów rocznie na kupno towarów, produkowanych na terytorium Stanów Zjednoczonych przez zagraniczne firmy: urządzeń elektronicznych, nafty i benzyny, czekolady i piwa oraz mnóstwa innych wyrobów przemysłowych. Ten rejestr towarów wydłuża się w nieskończoność.

W Loddy (stan Kalifornia) „A" klasowa zawodowa drużyna baseballu należy do Japończyków, posiadacze samochodów napełniają baki benzyną firmy „Shell", kontrolowanej przez Holendrów. Czekoladę „Nestle" produkuje firma szwajcarska. Biurowe maszyny obliczeniowe „Olivetti" przynoszą dochody Włochom. W wielu stanach USA produkuje się kandyjskie piwo.

Do dnia dzisiejszego firmy zagraniczne zainwestowały w swoje fabryki i filie, znajdujące się na terytorium Stanów Zjednoczonych około 13 i pół miliarda dolarów. Chociaż liczba ta jest znacznie mniejsza od 82 miliardów dolarów, które amerykańskie kompanie ulokowały w przedsiębiorstwach poza granicami USA, to jednak rośnie ona z roku na rok. Wielu specjalistów przewiduje, iż nacisk zagranicznych kapitałów na rynki amerykańskie będzie się odbywał szybciej, niż lokowanie kapitałów amerykańskich za zagranicą. W całym kraju pojawiają się coraz to nowe i nowe przedsiębiorstwa europejskie i japońskie, konkurujące z amerykańskimi. Około 85 zagranicznych kompanii działa w Nowej Anglii. Około 17 zachodnioniemieckich firm ma swoje fabryki w stanie Południowa Karolina. Obecnie ponad 700 zagranicznych firm zbywa swe towary na amerykańskim rynku. Wśród krajów, które zainwestowały największe kapitały w swoje amerykańskie filie, pierwsze miejsce zajmuje Wielka Brytania — 4,1 miliarda dolarów. Za nią idą: Kanada — 3,1 miliarda dolarów, Holandia — 2,2 miliarda i Szwajcaria — 1,5 miliarda dolarów.

Oprócz bezpośrednich wkładów kapitałowych, ich zagraniczni właściciele — osoby prywatne, banki itp. — posiadają także papiery wartościowe firm amerykańskich oraz obligacje państwowe na sumę około 30 miliardów dolarów!

Niektórzy eksperci w zakresie zagadnień rynkowych twierdzą, że dopływ środków z zagranicy, w bieżącym roku, znacznie podniesie kurs akcji na rynkach światowych.

W ciągu trzech pierwszych miesięcy tego roku nakłady finansowe przedsiębiorstw zagranicznych na kupno akcji kompanii amerykańskich przewyższyły o 750 milionów dolarów wartość akcji sprzedanych.

Firmy zagraniczne coraz mocniej utwierdzają się w przekonaniu, że są zdolne do konkurencji na wielkim rynku amerykańskim. Okazuje się, iż w walce z rozreklamowaną amerykańską techniką i tajemnicą produkcji można więcej zyskać, niż stracić. Właściciele niektórych zagranicznych kompanii uważają, że doświadczenia nabyte w Stanach Zjednoczonych mogą być dla nich przydatne w usprawnieniu działalności handlowej u siebie w kraju.

Bogactwo surowców i duże obszary wolnych terenów są także nie bagatelną okolicznością przy podejmowaniu decyzji o budowie zagranicznych fabryk na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Niemniej, wielu jeszcze cudzoziemców obawia się ryzyka wielkich wkładów kapitałowych w USA. Zagraniczne firmy są szczególnie zaniepokojone amerykańskimi ustawami antytrustowymi. Drugie niebezpieczeństwo kryją w sobie metody finansowania przedsiębiorstw w Ameryce. Jeśli firma amerykańska chce powiększyć swoje kapitały drogą sprzedaży akcji, musi szeroko informować o stanie własnych interesów. W większości innych krajów nie ma takich reżimów. Wreszcie, wielu zagranicznych biznesmanów lęka się, że nie wytrzyma nacisku wielkich amerykańskich konkurentów tej miary, co „General Motors", „General Electric". „United States Steel Corporation", Goodrich-Gulf Chemical" i wielu innych.

Od czasu dewaluacji dolara wiele europejskich firm roztrząsa możliwości inwestycji w Stanach Zjednoczonych, jednak bardzo ostrożnie i bez specjalnego entuzjazmu. Niemniej, w rozwiniętych krajach świata kapitalistycznego opracowuje się sposoby energicznego nacisku na ekonomikę Stanów Zjednoczonych. Następstwa tej ofensywy okażą się za kilka lat.

Nowe metody - stare cele

„PRACE" — PRAGA

Kierownictwo chińskie przekształciło w określony sposób swoją wewnętrzną i zagraniczną politykę oraz zmieniło formy i metody jej działania. Jednak z żalem należy stwierdzić, że celem tych zabiegów jest próba bardziej skutecznego funkcjonowania nie zmienionej nacjonalistycznej linii Pekinu oraz upiększenia jej w oczach chińskiej i postępowej opinii świata.

Generalnym kierunkiem całej polityki maoistowskiej jest walka przeciwko Związkowi Radzieckiemu i innym krajom wspólnoty socjalistycznej.

Pekińskie kierownictwo stara się umocnić swoją pozycję międzynarodową przez rozszerzenie stosunków z krajami świata kapitalistycznego. Chińscy liderzy nie ukrywają, iż dążąc do przyśpieszenia rozwoju swego potencjału wojskowo-przemysłowego, a w tej liczbie i broni rakietowo-jądrowej, chcą korzystać z naukowo-technicznych i technologicznych doświadczeń Stanów Zjednoczonych, a także Japonii i innych krajów zachodnioeuropejskich.

Maoiści usiłują udowodnić, że ich rozbieżności z międzynarodowym ruchem komunistycznym ograniczają się wyłącznie do „sporu między KPZR a KPCh". Nie wyrzekają się jednak swego planu stworzenia antyradzieckiego, propekińskiego bloku z niektórych partii i ugrupowań, a tam, gdzie uważają to za możliwe — próbują rozpalać nacjonalistyczne nastroje w różnych partiach komunistycznych.

Z analizy polityki chińskiego kierownictwa można wyciągnąć wniosek, że chociaż wykonuje ono takie czy inne manewry i przeprowadza pragmatyczne porządkowanie taktyki, to jednak nie odstępuje od swojej głównej linii działania.

ZSSR, w stosunku do ChRL, konsekwentnie urzeczywistnia politykę, wypracowaną na XXIV Zjeździe KPZR. Polega ona na niezłomnej obronie zasad marksizmu-leninizmu, wszechstronnym umacnianiu jedności krajów wspólnoty socjalistycznej i światowego ruchu komunistycznego, pryncypialnej krytyce linii kierownictwa chińskiego.

J. CZECH

Kultura na świecie

MICHEL LEGRAND

Michel Legrand znany jest u nas dobrze choćby tylko z bardzo popularnego w swoim czasie filmu „Parasolki z Cherbourga", do którego napisał muzykę. Przypomnijmy, że film ten wszedł do historii kinematografii światowej reprezentując po raz pierwszy nowy rodzaj. Był to bowiem film całkowicie śpiewany, ale nie będący ani operą ani operetką.

O Michelu Legrand sporo informacji przyniósł ostatnio paryski dziennik „l'Humanité". Pismo to, centralny organ Francuskiej Partii Komunistycznej, corocznie we wrześniu urządza swe dwudniowe święto, wielki festiwal z udziałem wybitnych artystów sceny, estrady, baletu itp. „Huma" fete", bo tak w skrócie nazywa się to święto, odbywało się dotąd zazwyczaj w Vincennes pod Paryżem. W tym roku odbyło się w La Courneuve również pod Paryżem. Mimo brzydkiej, deszczowej pogody „Huma" fete" zgromadziło wielotysięczne tłumy ludzi nie tylko z Paryża, ale i delegacje z wszystkich najważniejszych przemysłowych ośrodków Francji. Tegoroczne święto przebiegało pod hasłem uczczenia pamięci zmarłego przed dwudziestu laty, wielkiego poety francuskiego Paula Eluarda. To wielkie święto kultury uświetniły znane zespoły artystyczne i estradowe. Wystąpili też tacy wybitni piosenkarze czy śpiewacy jak Myriam Makeba czy Jean Ferrat. Olbrzymi sukces zdobył w tym roku balet Bejarta. Michel Legrand po raz pierwszy wystąpił jako muzyk podczas Święta „l'Humanité" i z tej to okazji pismo zaznajomiło swych czytelników z sylwetką popularnego kompozytora i muzyka. Jest on autorem m. in. muzyki do około dwudziestu filmów i wielu, wielu piosenek. Michel Legrand urodził się w roku 1932 w Paryżu w rodzinie uzdolnionej muzycznie, kochającej muzykę i uprawiającej ją. Jego ojcem, jest również dość znany kompozytor piosenek, były dyrygent i były dyrektor wytwórni płyt z nagraniami muzycznymi i piosenkarskimi. Raymond Legrand. Starsza siostra Michela, Christiane jest wokalistką w zespole „Les Swingle Singers".

Michel Legrand przejawia bardzo wcześnie zamiłowanie do muzyki i zainteresowania swe traktuje poważnie. Mając zaledwie lat dwanaście zdobywa nagrodę w dziale solfeżu w Conservatoire National de Musique w Paryżu, a w pięć lat potem, w tej samej uczelni zdobywa nagrodę następną w dziale harmonii.

Swą karierę muzyczną Legrand rozpoczyna jako kompozytor piosenkarek i piosenkarzy o tak słynnych nazwiskach jak Catherine Sauvage (wraz z nią zdobywa nagrodę Akademii Charles Cros za instrumentację), Juliette Greco, Henri Salvador (w ciągu dwu lat), Jacqueline Francois i Maurice Chevalier.

W roku 1958 Michel Legrand wraz ze swym zespołem orkiestrowym odbywa tournee po Związku Radzieckim. Nieco później nagrywa album płyt zatytułowany „I love Paris" (Kocham Paryż), który rozchodzi się po całym świecie w ilości dziewięciu milionów egzemplarzy i którym kompozytor zdobywa dużą popularność zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych.

Kompozytor Jean Dréjac, przyjaciel i od lat ponad dwudziestu współpracownik Legranda opowiada jak podróżowali do Związku Radzieckiego w ramach Światowego Festiwalu Młodzieży, jak byli serdecznie witani przez trzy tysiące osób, a każda z nich miała kwiat w ręku. W Leningradzie Michel Legrand wraz ze swym zespołem dał jedenaście koncertów, dwa w Moskwie, cztery w Kijowie. Zespół witany był wszędzie i przyjmowany z serdecznością i entuzjazmem.

W powrotnej drodze do Francji, na statku Michel Legrand zawarł bliższą znajomość z francuską modelką, biorącą udział w pokazie mody paryskiej w ramach Festiwalu, Krystyną, która następnie została jego żoną. Później Michel Legrand poświęcił się głównie tworzeniu muzyki do filmu. Swą karierę w tej dziedzinie zawdzięcza głównie sukcesowi „Parasolek z Cherbourga". W Stanach Zjednoczonych Legrand otrzymuje dwa „Oscary", jeden w roku 1968 i drugi w bieżącym roku. Dziś uchodzi za jednego z najlepszych nie tylko kompozytorów piosenek, ale i dyrygentów. Jego piosenki śpiewają w Ameryce i Francji największe sławy estrady. Największą popularnością cieszy się jego „La Valse de Lilas".

Jeśli chodzi o życie prywatne, to Michel Legrand należy do tych ludzi, którzy umieją prowadzić nie tylko samochód i jacht, ale i samolot. Uprawia także spadochroniarstwo. Ciekawe co na ten temat mówi sam muzyk. W rozmowie z dziennikarzami powiedział: „Kocham życie. Kochając życie kocham wszystko co ono przynosi i chcę wszystkiego spróbować, ale nie jako amator w złym sensie tego słowa". I dalej opowiada o tym jak bardzo bał się samolotu. „Człowiek lubi to czego się boi" — mówi Legrand. „Spędziłem piętnaście lat życia trzęsąc się ze strachu w samolotach i skończyło się na tym, że teraz sam pilotuję. Podobnie bardzo boję się spadania w przestrzeni, toteż postanowiłem uprawiać spadochroniarstwo. A wszystko to dlatego, że pociąga nas to czego się obawiamy".

Już z tych kilku wypowiedzi wyłania się sylwetka artysty, twórcy, który nie chce iść najłatwiejszą drogą życia i jego błyskotliwa kariera, łatwa jakby to komuś mogło się wydawać, okupiona jest stałym przezwyciężaniem siebie. Czy występując na estradzie Michel Legrand nie ma tremy? Ależ tak. Ma ogromną. Mówi o tym, że właśnie dlatego postanowił pokazywać się publiczności, żeby przezwyciężyć swój strach i swą tremę. Pracuje zawsze wolno i dokładnie. Co myśli o przyszłości i dalszych swych dziełach? „Cały jestem zwrócony ku przyszłości, ku jutru" — stwierdza Legrand. „Mam wrażenie, że jestem wieczny. Choć przecież wiem, że śmierć we mnie mieszka" — dodaje nieco patetycznie. Opowiada następnie, że do pisania muzyki potrzebuje wiele czasu. Czy jest zadowolony z obecnego życia? Tak. Jest zadowolony. „Chciałbym, żeby moje życie było takie jak teraz. Chciałbym, abym mając lat osiemdziesiąt miał ciągle dużo nowych pomysłów".

W chwili obecnej pracuje nad muzyką do filmów. Nie dawno był w Ameryce i przywiózł kopie, które przegląda komponując do tych filmów muzykę. „Praktycznie biorąc żyję filmem do którego piszę muzykę" — wyjaśnia Legrand. „Ileż razy go przeglądam. Początkowo nie mam czasem żadnego pomysłu. Nieraz przez dłuższy czas zatrzymuję się na pewnych poszczególnych scenach przez wiele dni i nocy, nim odnajdę to co mi jest potrzebne. Tak np. film Josepha Loseya „Le Messager" postawił przede mną wiele problemów. Przeżywałem momenty zniechęcenia".

Film pociąga Legranda coraz bardziej,, nie komponuje już prawie piosenek nie związanych z filmem. Myśli nawet o roli reżysera filmowego. Być może — jak twierdzi — spróbuje tego w roku przyszłym. Na razie wystąpi w filmie jako aktor. Jest to film w reżyserii Alexa Joffé pt. „Coup de foudre" (Miłość od pierwszego wejrzenia). Treścią są romantyczne przeżycia lotników. Partnerką Legranda będzie najprawdopodobniej Marie Laforet. A później? — pytają dziennikarze. „Chcę przygotować sceniczny spektakl w paryskiej „Olympii". W spektaklu tym Michel Legrand wystąpi z Catheriną Valente.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZESZŁOŚĆ teraźniejszość

KŁOPOTY Z BOHATEREM

Tym razem będzie o jednej, konkretnej legendzie. Znamy ją dobrze: rozsławiona przez publicystykę i literaturę, odegrała doniosłą rolę, jako symbol polskiej walki z germanizacją. O jej bohaterze pisali Henryk Sienkiewicz i Maurycy Maeterlinck, Lew Tołstoj i Herbert G. Wells, w jego sprawach wielekroć interpelowano w parlamencie Rzeszy, opowiadano sobie, jak „głupi polski chłop ośmieszył niemieckiego cesarza". Oczywiście — chodzi o Drzymałę i jego sławny wóz.

Józef Podgóreczny, który zainteresował się dziś bliżej losami bohatera, słusznie stwierdza, w wydanej niedawno książce, że „Drzymała stał się symbolem walki Polaków z naporem germańskim. Na tle historii Drzymały powstała Rota Marii Konopnickiej oraz nowele Henryka Sienkiewicza. Swoją nieugiętą postawą wobec szykan pruskich, bezprawia i gwałtów zaborczego reżimu Drzymała poruszył serca i umysły całego społeczeństwa polskiego, rozbudził jego patriotyzm i dumę narodową". Taka była obiektywna rola, jaka w makrohistorii zmagań Polaków z naporem germańskim przypadła prostemu polskiemu chłopu. Spojrzenie z innej perspektywy, przez pryzmat mikrohistorii codziennych w zaborze pruskim konfliktów Polaków z landratami i żandarmami ujawnia, że był on jednym z bardzo wielu tych, którzy prowadzili walkę o kawałek ziemi, o własny dach nad głową, choć na pewno z nich najgłośniejszym.

Wszystko przez tych dziennikarzy, którzy wraz z hr. Czarneckim niespodzianie pojawili się opodal wozu, obfotografowali go i opublikowali pierwsze artykuły! Boć wóz w ówczesnych warunkach nie był na tym terenie rzeczą aż tak nadzwyczajną, chyba, że dlatego, iż był to wóz cyrkowy. Taki Kowalski, chłop z Pinwic w powiecie wąbrzeskim mieszkał tylko w wozie cygańskim. W dodatku Drzymała zakupił swój pierwszy wóz z porady, a zapewne i z pieniężną pomocą swego sąsiada, u którego do niedawna mieszkał, najbogatszego w tej okolicy Niemca Richarda Neldnera. O tym legenda milczy, a jednak jest faktem, że naszego Drzymałę w jego nieustępliwych zmaganiach z niemiecką władzą popierali ci z jego niemieckich sąsiadów i znajomych, którzy — jak po latach stwierdzi monografista — „nie aprobowali postępowania landrata czy żandarmerii w stosunku do Polaków". Więcej: o tym, że Drzymała nie miał żadnych kompleksów w stosunku do narodu niemieckiego, a jedynie prawował się o swoje racje z niemiecką władzą, świadczą inne fakty. Sam był żonaty z Józefą Vetter — nazwisko wskazuje na pochodzenie — a czterech synów miał w Niemczech. Dwaj polegli jako żołnierze pruscy w I wojnie światowej, dwaj starsi osiedli na stałe w Zagłębiu Ruhry, pożenili się z Niemkami, a później zmienili nawet nazwisko na Berger.

Czy wielu spośród tych wszystkich, którzy przed I wojną światową tak żywo interesowali się losem Drzymały, wiedziało, że uparty chłop przeżył tę wojnę i nadal, pomimo zmiany stosunków politycznych, miał swoje kłopoty? Żył zapomniany przez wszystkich, w nędzy, gdzieś na pograniczu polsko-niemieckim. Przypomniał o nim dopiero pisarz Józef Weyssenhoff; dzięki jego zabiegom doczekał się Drzymała od państwa niewielkiego gospodarstwa, a także objawów oficjalnego uznania.

„Nawet Prezydent Państwa Ignacy Mościcki — napisze potem Weyssenhoff — zdobył się na gest i zaprosił Drzymałę do Belwederu. Po oficjalnych przemówieniach i uroczystościach, pstrykaniu z aparatów fotograficznych, nastąpił bal i już wówczas o Drzymale zapomniano. Chyba bardzo nieswojo czuł się między frakami, toaletami wytwornych pań i szlifami oficerskimi ten prosty chłop, choć na pewno bardziej zasłużony, niż niejeden na tej sali. Wyszedł i usiadł na schodach marmurowych. Ktoś litościwy zaprowadził go do swego mieszkania. A w sali trwał bal, nikt nie zauważył, że głównego bohatera rautu nie ma na sali balowej".

Ów skrawek polskiej ziemi, który Drzymała odkupił w 1904 r., o który toczył tak uporczywą i zarazem pomysłową walkę przeciw całej potędze niemieckiej administracji, nie pozostał jego własnością. Sprzedano go w 1927 r., „w drodze przymusowej za podatki". Również i wóz Drzymały przestał istnieć.

Trzebaż się dziwić gorzkim słowom ówczesnej publicystyki? „Twierdzę, że Drzymała, pomimo całego chytrego wybiegu, który go wsławił, nie był sprytny. Nie potrafił zdyskontować swoich atutów do opieki państwa. „Nieugięty chłop wielkopolski" ugiął się, zmogli go. Nie zapisał się do żadnego związku obrońców ojczyzny, więc musiał furmanić i zdychającą szkapą zarabiać na życie. Za to jakie zaszczyty po śmierci!"

„W okresie międzywojennym — zacytujmy raz jeszcze J. Podgóreczngo — Drzymała był zapraszany na różne uroczystości narodowe i państwowe. Chętnie brał w nich udział. Ponieważ chłopi należeli w owym czasie do wielu stronnictw politycznych, Drzymała był namawiany przez różne ugrupowania polityczne do wstąpienia w ich szeregi. W Grabównie wśród bliskich Michała przechowało się przeświadczenie, że podczas takich rozmów zapytywał on, która z licznych partii ludowych jest prawdziwie chłopska? Ponieważ — jak twierdził — nie orientował się w polityce poszczególnych stronnictw, wolał należeć do tej partii, która nazywa się POLSKA".

LEKTOR

Zdarzenia i zwierzenia

Poeta B. i krwawa jatka

„Nadchodzą powolne ogiery mego blasku" — napisał kiedyś poeta B. A kiedy ogiery już nadeszły, poeta B. usiadł i napisał kryminał do serii „Ewa wzywa 07"...

Kryminał nazywa się „Toccata", ale jest jatką w rytmie toccaty. Poeta B. słyszał kiedyś, że literaturę sensacyjną najbardziej ożywia trup, ścielący się gęsto. Więc nam nie pożałował.

Najpierw dwa trupy w knajpie, potem dwa trupy na plebanii — „rozciągnięte na podłodze, obramowane krwią ciało Michała(...) obandażowaną pierś Walendzika znaczy poszarpany świeży jeszcze otwór"... Potem trup na stacji PKP. Potem trup lekarza — „na surowych deskach podłogi ludzki kształt przykryty kocem. Spod koca wystają stopy. Prawa gola, lewa obuta..."

Jatka w rytmie toccaty. Żeby nieco złagodzić tę krwistą prozę, przypomnijmy „falochrony chorobliwych lilii" z twórczości poety B., który dziesięć lat temu wchodził do literatury koturnowo i hermetycznie:

„Po sezonie, to łaska sarna
przy rysunku, po sezonie
najmowana i brzuch ten
sarni jak muszla
gdy odlewa się w owocach
jej zasnute mięso
Po sezonie to ucho, jak
pieczeń w igliwiu
po sezonie pieczeń dzwoniąca
kiedy pierś twoją
wyłamuję z bluzki, gdy
uprzątam w tobie przejście
dla osiołka..."

No, właśnie, po sezonie takiej poezji trzeba się było wziąć za kryminały. Za siermiężną prozę życia w stu tysiącach egzemplarzy. Znudziły poetę „wybiegi powietrza nad karczowiska smoły", znudziły go „ścieżki płotek wysupływać z źrenic", więc, kiedy go naszły „ogiery jego blasku" usiadł i napisał:

„Duchota dławiła wszystkich przez cały dzień(...) Ziemia schła. I w ludziach wysychały siły, ta najpotrzebniejsza codzienna energia poruszająca powszedni kołowrót pracy, a w krótkich godzinach odpoczynku dysząca ciężko jak zziajane zwierzę". Metaforą okrasił — jak widać — tę siermiężną prozę, a pierwsze kryminalne zdanie: „Duchota dławiła wszystkich...", być może wejdzie do literatury jak owe Żeromskiego: „Ogary poszły w las..."

I bohaterowie mówią smacznie:

— Daj setę.

— Szlus! Ja też muszę kiedyś spać.

— Daj, nie bądź bydlę.

— Całuj mnie, wiesz...

— To pies ci mordę lizał..."

Tak smacznie jak przed dziesięciu laty w tomiku wydawnictwa PAX:

„Moja opiekunko z czyżykiem
i klateczką rosy
To miejsce gdzie lampiony
rozłupuje obłok
W łupniach żagla śpią
rozstawne twe boki..."

Ja rozumiem, że „jatka w rytmie toccaty" napisana została „na boku", ale jak tu nie dać „łupnia w żagle"? Powie ktoś, że chwyt z przypomnieniem hermetycznego wodolejstwa poetyckiego sprzed lat dziesięciu w zestawieniu z rozrywkową taniochą „kryminału" jest ograny i płaski.

Być może. Chodzi mi wszakże o co innego. Chodzi mi o skompromitowanie przekonania, że kryminał napisać łatwo, że można go traktować jak najgorszą chałturę, że każdy, kto posiadł jakąś tam sprawność metafory, może stworzyć logiczną konstrukcję prozy. Guzik prawda.

W tej samej serii drukowali kiedyś m. in. Janusz Głowacki, Ścibor-Rylski, Kazimierz Koźniewski, Maciej Patkowski, Andrzej Szczypiorski... Nie była to literatura najwyższego lotu, bo nie takie jest założenie literatury rozrywkowej — były to przyzwoite, logiczne opowieści kryminalne. Ale ich autorzy dysponowali warsztatem pisarskim. Poeta B. natomiast dysponuje pomysłowością w wymyślaniu piętrowych metafor oraz nazwiskiem.

Jest to stanowczo za mało, aby napisać poprawny kryminał. Choć wystarczy, aby napisać kryminał śmieszny. Mimo sześciu trupów na trzydziestu stronach (jedna piąta nieboszczyka na stronę) „Toccata" jest nudna jak flaki z olejem, śmieszy nieporadnością i nielogicznością.

Żartowałem kiedyś w tym miejscu z Jerzego Edigeya, który jest w Polsce bodaj jedynym „zawodowym" autorem powieści kryminalnych. Muszę dziś wyznać, że wolę jego, nie najlepsze zresztą, utwory, od amatorszczyzny głośnych poetów, nie umiejących skonstruować mniej więcej sensownej opowiastki sensacyjnej. Jeśli tyle się mówi dziś o wąskiej specjalizacji, to już niech Edigey pisze swe powieści, a poeta B. niech pozostanie przy swoich hermetycznych „falochronach chorobliwych lilii" i niech go więcej nie nachodzą „powolne ogiery blasku" w postaci rozrywki dla stu tysięcy czytelników.

WIDOK

Lewym okiem

MAŁA RZECZ A TYLE SZCZĘŚCIA!

Czasem mówi się w tych felietonach o sprawach dużych, czasem o zupełnych drobiażdżkach, a zawsze w sposób nie pozbawiony tak zwanego przekąsu. Bardzo rzadko się zdarza, żeby jakaś instytucja zareagowała na zaczepkę, kiedy mowa o sprawach dużych albo uparcie dokuczliwych. Częściej — kiedy mowa o drobnostkach. Niedawno napisałem o blaszce ze szpilką, czyli o zupełnym głupstwie, któremu nadaje się wielkie znaczenie, psując wielu ludziom nerwy potrzebne do spraw dużych. Nikt tam nie był wymieniony z imienia, mowa była o radzie narodowej — nie wiadomo jakiej. Jeżeli zaszczycono felieton listem Wydziału Kultury Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi, to dlatego, że właśnie ten wydział, tej Rady, poczuł się felietonem skrzywdzony.

Czytam w liście, że jego autorzy tylko wyjątkowo zgadzają się z Ćwiekiem, mianowicie co do tego, że nie można porównywać znaczka okolicznościowego z życiem ludzkim. Poza tym wyjątkiem Ćwiek nie ma racji i jest źle poinformowany. Bardzo mi przykro, chociaż właśnie moje informacje o gehennie znaczkowej gdyby to było komuś na coś potrzebne — mogłyby zająć cztery kolumny „Odgłosów". Ale nie są potrzebne.

Wydział Łódzki tłumaczy, że nie jest sprawą błahą to, co nosimy w klapie, że projekt przypinki musiał być zły, jeśli Komisja go odrzuciła. Podobnego listu nie mógłby napisać np. Wydział Kultury PWRN w Krakowie, który to Wydział **ten sam** projekt znaczka uznał za dobry. Widocznie krakowscy rzeczoznawcy są gorsi od łódzkich. Projekt — powtarzam — był ten sam. Tylko komisje dwie. A oprócz nich jest jeszcze ponad dwadzieścia w pozostałych województwach.

Być może — należałoby uprawniać niektórych plastyków do projektowania przypinek, a innych — do projektowania zieleni miejskiej. To niech to będzie napisane w dyplomie. Po co kazać człowiekowi zdawać egzamin tysiące razy, jak w żadnym innym zawodzie, nawet w tym, który decyduje o życiu ludzkim, w dodatku stosując inne kryteria w Krakowie, inne w Łodzi i tak dalej? Zapewniam, że koszty wynikłe z tej wielomiesięcznej komisyjnej procedury są niemałe, zwłaszcza jeśli chodzi o czas wielu naprawdę bardzo zajętych ludzi.

Zresztą o blaszkach już chyba dosyć. Są inne drobiazgi, które niepotrzebnie psują nerwy i nie tylko nerwy. Weźmy bilety samoobsługowe w tramwajach i autobusach. Zrobione są z mięciutkiej bibułki. Trafienie taką bibułką w szparę kasującego automatu w szarpiącym się i podskakującym wozie jest cyrkowym wyczynem. Posłuchajcie wiązanek, jakie przy tym padają. A znów jak się już trafi — to automat przytrzaśnie i urwie. Raz już zapłaciłem karę za okazaną połówkę biletu, bo druga połówka została w środku, czego zresztą nawet nie zauważyłem.

Bilety na tramwaj i na autobus zwykły i pośpieszny są jednakowe. Wszystkie się nosi w portfelu, nikt nie ma trzech portfeli. Wybranie właściwego biletu wymaga całej manipulacji z okularami (wyjąć z kieszeni, założyć na nos, zdjąć z nosa, schować do kieszeni), a do tego potrzebne dwie ręce wolne i trochę swobody ruchu. Nie ma swobody i nie ma wolnych rąk w zatłoczonym, miotającym się wozie.

Z biletowej bibułki po tygodniu noszenia w kieszeni zostaje sam tylko kurz. Wszystko razem do kitu.

A w Budapeszcie kupuje się bilety ze sztywnego kartoniku, które wsuwają się w automat bardzo łatwo. Drukowane są w perforowanych arkuszach, jak znaczki pocztowe — można kupić dowolną ilość. Na każdy środek lokomocji — inny kolor, co zwalnia z konieczności pracowitego odczytywania maleńkich literek w pędzącym autobusie. Są trwałe, można je nosić po prostu w kieszeni, nie rozsypują się w proch i w pył, jak nasze. Taka mała rzecz, taka prosta!

I nie mówcie, że to z powodu trudności papierowych w kraju. Bo takie same jak w Budapeszcie są również bilety w... Poznaniu. Właśnie z kartonu, właśnie w różnych kolorach. Mała rzecz, a cieszy. Jednym prawie machinalnym ruchem załatwiamy sprawę i stajemy się legalnymi użytkownikami publicznego środka lokomocji.

Ciekawi jesteśmy, czy odnośne Dyrekcje zaszczycą nas i tym razem listami, tłumaczącymi, że tak jak jest — jest najlepiej i lepiej być nie może?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jerzy Wawrzak (redaktor naczelny), Karol Badziak, Konrad Frejdlich, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański, Lucjusz Włodkowski (sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2207. D-4